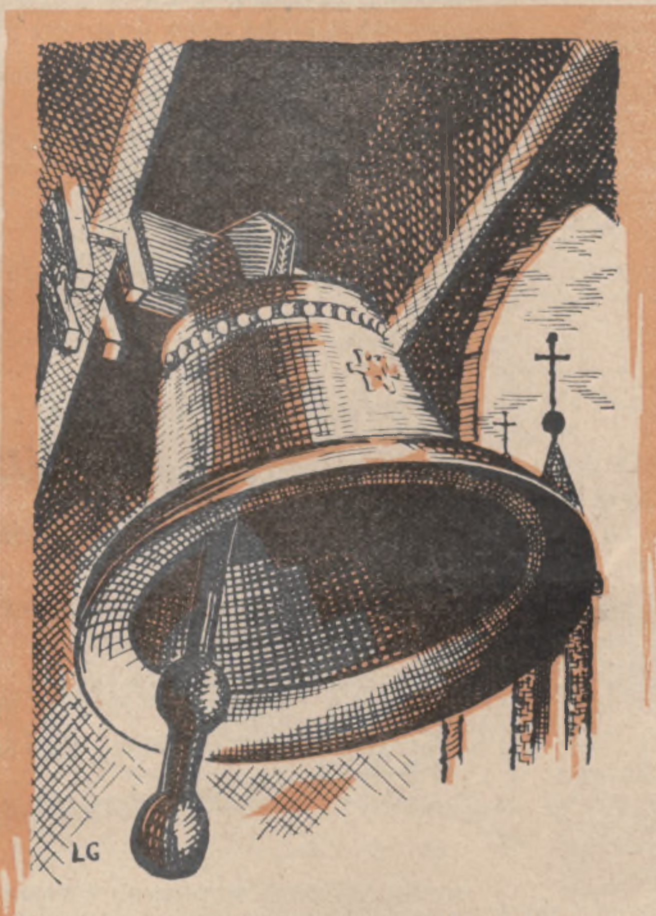
Pomorskie czasopismo ilustrowane

STRAŻ NAD WISŁĄ



Wesołego Alleluja

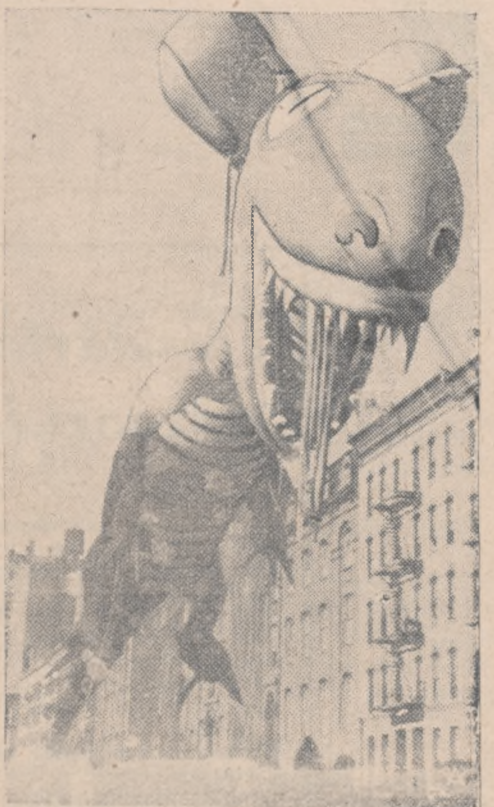
Rok VIII. Nr 10

To warto przeczytać



Ciekawostki

DZIWACZNE MONSTRUM



W uroczystym obchodzie „Dnia Dziękczynienia" (poświęconego uczczeniu pierwszych emigrantów, przybyłych do Ameryki), obnoszono po ulicach Nowego Yorku również manekin dziwacznego, nieznanego dotychczas monstrum. Zostanie ono przekazane do Muzeum Osobliwości.

MAŁY ZAMECZEK W GÓRACH

„Berghof" — domek górski — tak nazywa się zameczek w Berchtesgaden, gdzie zdecydował się los Austrii. Jest to stosunkowo niewielkie, dość skromne, ale kosztowało sporo, bo taka skromność osiągana jest tylko przy znacznych środkach pieniężnych.

Prof. Leonard Holl i Herdi Trost, znakomita dekoratorka, są twórcami Berghofu. Odznacza się on prostotą linii i zharmonizowaniem obić ścian, oraz mebli. Jest sporo obrazów, przeważnie szkoły holenderskiej; obok wiszą gobeliny flamandzkie z XVII wieku.

Hall, bardzo obszerny, ma pośrodku rodzaj wzniesienia, zrobionego na życzenie Hitlera. Szeroko zastosowano wyłożenie ścian drzewem o tonach złotych. Na sufitach płyty drewniane są pokryte rzeźbą.

W kącie hall'u stoi ogromny fortepian. Z szerokich okien widać panoramę Alp Bawarskich. W hall'u mieści się jeszcze wielki globus oraz stół marmurowy, służący do rozkładania map i planów.

W tym to ustroniu Führer odpoczywa. Ale w nim też obmyśla pewne plany, a nawet załatwia interesy polityczne, czego dowodem była wizyta Schuschnigga.

SEYSS-INQUART, SZYBKOBIEGACZ

Na olimpiadzie w Berlinie spotkali się w jednej loży: Seyss-Inquart, który przyjechał z Wiednia jeszcze wówczas nie po rozkazy, i Keppler, ten sam, którego Hitler obecnie delegował do stolicy byłej Austrii. Kto wie, czy to przypadek, że zasiedli obok siebie już na olimpiadzie.

W pewnej chwili Seyss-Inquart zauważył:

— Ja byłem w swoim czasie niezły w biegu na sto metrów.

— Ja też — powiedział Keppler.

Od słowa do słowa — stanął zakład. Rozgrywka nastąpiła tegoż wieczora w ogrodzie jednego z przyjaciół.

Współzawodnicy przyszli prawie łeb w łeb. Ale Seyss-Inquart został pokonany.

Teraz wziął odwet. Prawdopodobnie daleko zajdzie w hierarchii partyjnej. Jak Mussolini, mógłby spodziewać się telegramu od Führera:

„Nigdy ci tego nie zapomnę".

POJEDYNEK POWIETRZNY BRUNONA MUSSOLINIEGO

Do Nowego Jorku powrócił lotnik amerykański D. D. Dickinson, który przesłużył 16 miesięcy w armii rządowej hiszpańskiej. Opowiada on o pojedynku, jaki stoczył w powietrzu z Brunonem Mussolinim, synem Duce.

Bruno Mussolini, będąc u narodowców w Palma, posłał do Walencji wyzwanie przez radio, proponując najlepszemu lotnikowi czerwonemu zmierzenie się z nim w przestworzach. Wyzwanie przyjął Dickinson.

Spotkanie nastąpiło o 10 mil od brzegu, na dość znacznej wysokości. Z każdej strony asystowały po trzy aparaty, w charakterze świadków.

Syn Mussoliniego dosiadał Fiata, Dickinson — aparatu hiszpańskiego, stanowiącego kopię maszyny wojennej amerykańskiej.

Bój trwał około pół godziny, przy czym obaj piloci manewrowali tak zręcznie, że wyczerpali zapas benzyny i nabojów, bez poważniejszego wyniku. W końcu Bruno Mussolini rzucił w powietrze rękawiczkę, na znak, że bój skończony.

Gdy Dickinson na dole obejrzał swój aparat, stwierdził jednak ponad trzysta śladów kul z karabinu maszynowego.

Redakcja i Administracja „Straży nad Wisłą"

składają wszystkim swoim Czytelnikom i Sympatykom życzenia



Wesołego Alleluja

LABORATORIUM FARMACEUTYCZNE JAGODY

Powołując się na dane z procesu, dotychczas jeszcze nie ogłoszone, „Czerwona Gwiazda" i „Prawda" podają ciekawe wiadomości o laboratorium farmaceutycznym G. P. U. Laboratorium to stworzył Jegoda, który przed wojną był farmaceutą w Niżnim Nowogrodzie.

Oficjalne laboratorium należało do sekcji sanitarnej G. P. U. Pracowali w nim lekarze: dr Winogradow i dr Karakow. Ale specjalne trucizny chowane były w kasie ogniotrwałej, od której klucz miał tylko Jagoda.

Raport o swoich obserwacjach i wynalazkach w dziedzinie trucizn dr Karakow składał Bułanowowi, sekretarzowi Jagody.

Pod względem naukowym pracownicy mieli wszystko, czego im było trzeba. Nie żałowano na to pieniędzy, ani czasu. Mieli też rzadko spotykaną możność sprawdzania swoich wynalazków doświadczalnie, nie na królikach albo świnkach morskich, ale na „materiale ludzkim". Jak to się robiło — o tym wiedział tylko dr Karakow.

Chociaż kontrola medyczna nie miała do laboratorium dostępu, lekarze moskiewscy wiedzieli coś-niecoś o tych doświadczeniach. Nie lubili jednak mówić o nich — et pour cause...

W sprawozdaniach z procesu nie powiedziano, skąd brany był „materiał ludzki". Nie trudno się jednak domyśleć.

Miał o tym ściślejsze wiadomości dr Winogradow, 22-gi podsądny w zakończonym procesie. Ale — tak się stało, iż 23 lutego r. b. zmarł nagle w swej celi więziennej. Czy i on zaliczony został do „materiału ludzkiego", nie wiadomo.

STRAŻ NAD WISŁĄ
Rok VIII. Nr 10 (325)
TORUŃ-BYDGOSZCZ-GDYNIA, 10. IV. 1938

Na święto Zmartwychwstania

Zbliża się Wielkanoc.

Za parę dni zbierzemy się przy wielkanocnym stole, by po podzieleniu się poświęconym jajkiem, złożyć sobie wzajemnie najlepsze życzenia.

Lecz najlepsze nawet życzenia nie poparte czynem, pozostaną tylko pustym dźwiękiem. Nie bądźmi więc gołosłowni.

Wielkanoc to okres robienia rachunku sumienia, oczyszczania się z grzechów, a czyż będziemy mogli z czystym sumieniem zasiąść do dostatnio zastowionego stołu nie spełniwszy wpierw swego obywatelsko-braterskiego obowiązku wobec tych najbiedniejszych, u których święto tym odróżnia się od dnia powszedniego, że nie można w nim liczyć i znaleźć nawet jakiegoś dorywczego zajęcia, że zazdrość i rozpacz jeszcze bardziej wtedy chwytają za serce i ogarnia chęć jakichś szaleńczych czynów.

Nie możemy dopuścić do tego, by tuż, koło nas, byli ludzie głodni i spragnieni.

Nie zamykajmy tchórzosko oczu, to nie fata morgana, to rzeczywistość.

Tysiące głodnych dzieci czeka na nasze serca.

Przypomnijmy sobie nasze własne dzieciństwo. Jeżeli było radosne i beztroskie — to przeciwstawmy mu nędzę i smutek jej świąt, jeżeli było ciężkie, a dzień dzisiejszy jest łatwiejszy do zniesienia — to sami będziemy wiedzieć najlepiej czym i jak sprawić radość innym. Bieda biedę zawsze zrozumie i wspomoże.

Niech więc ci, którzy nędzy nigdy nie zaznali, nie rozumieją jej i pomóc nie chcą, pamiętają, że przyszłość to wielka niewiadoma, że los płata najzłośliwsze figle i jeżeli już nie dla innego powodu, to chociaż żeby udobruchać dobre bóstwa i na wszelki wypadek zabezpieczyć się przed ich zemstą. Dobrze mieć takiego dłużnika.

A powiedzmy tak sami sobie, szczerze i w zaufaniu, czy tak zupełnie spokojnie i zadowoleni zasiądziemy do stołu, nie zrobiwszy przed tym nic, by te święta rozjaśnić innym?

Stosunek bezrobotnych do pracujących jest tego rodzaju, że nie powinien znaleźć się w Polsce człowiek głodny. Postarajmy się więc, odmówmy sobie jakiegoś smakołyka, by kosztem jego rozjaśnić choć trochę szarą rzeczywistość człowieka biednego.

Zobaczycie! Ich radość będzie waszym szczęściem i dumą.

Do ludzi trzeba podchodzić z sercem, a i ten ponury, wynędzniały nasz brat ma też serce, tylko bardzo smutne i spragnione ciepła. Okażmy mu je.

Na świecie budzi się wiosna. Rozczula nas widok zielonej trawki, malutkich pączków — a czyżby nasze serca nie zadrgały mocniej na widok małego, zgłodniałego dziecka?

I ono rwie się do życia, nieświadome jego ciężaru, tak jak trawa nie przeczuwa ostrości kosy, która ją zetnie.

Ktoś powie, że to jest zwykła kolej rzeczy. Tak.

Lecz w naszych rękach leży moc odwleczenia tej chwili, rozjaśnienia szarej rzeczywistości.

Spróbujmy! Zabawmy się w cudotwórców. A na pewno magia tego rodzaju uda się nam.

Zdradzę stary, lecz zapomniany w ostatnich czasach, system tych czarów. Trzeba włożyć w to trochę dobrej woli i dużo, dużo serca, a efekt będzie nadzwyczajny.

A gdy w dzień Zmartwychwstania Pańskiego rozdzwonią się dzwony, będziemy mogli zaśpiewać radosne Alleluja, tak radośnie i spokojnie, jak nie miało to miejsca przez wszystkie samolubne lata.

W. Wierusz-Kowalska.

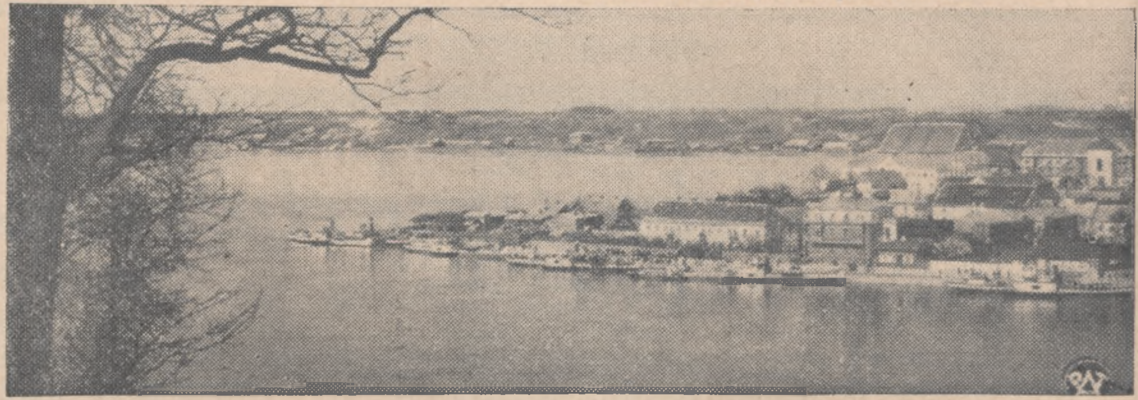




Prezydent Republiki Litewskiej
Antanas Smetona.

LITWA

TAM, GDZIE NIEMEN ŁĄCZY SIĘ Z WILIĄ
Zlewisko Niemna i Wilii pod Kownem.



Litwa — to temat najbardziej w tej chwili nas pasjonujący. Poczynające się współżycie dwóch sąsiadujących z sobą państw, związanych wiekową tradycją, a rozdzielonych złą ręką wrogów, wchodzi na normalne tory stosunków międzynarodowych, które z pewnością wkrótce zamienią się w serdeczną przyjaźń i obopólną sympatię.

Polska graniczy z Litwą na przestrzeni 507 km, co stanowi 9,2% całej granicy Polski, ale przeszło jedną trzecią ogólnej granicy litewskiej, która wynosi 1457 km, z czego 90 km, czyli 6,2% przypada na brzeg morski .

W granicach tych mieści się kraj o powierzchni 56.000 km kw., zamieszkały przez dwa i pół miliona ludzi, wobec czego na 1 km kw. przypada 45 mieszkańców. Jeśli weźmie się pod uwagę, że w Polsce na 1 km kw. przypada 86 ludzi, to stwierdzić wypada, że zaludnienie Litwy jest rzadkie.

Stolicą kraju jest Kowno, posiadające 106.794 mieszkańców. Co prawda Litwini uważają, że prawowitą ich stolicą jest Wilno, ale są to mrzonki, które nie wyjdą po za obręb chorych marzeń. Następnym co do wielkości miastem jest Kłajpeda o 38.549 mieszkańcach, a dziesiątym co do obrotów i ruchu statków portem na Bałtyku. Tonaż statków, które przeszły przez ten port wynosił w 1936 r. około 7.500 tys. ton, dalej idą Szawle — 24.637 i Poniewież 21.442. Poza tym dwa miasta mają od 10 do 20 tysięcy mieszkańców, w innych miastach ilość mieszkańców nie przekracza 10 tysięcy. W sumie 13% ludności mieszka w miastach, reszta, a właściwie większość, rozsiana jest po wsiach i małych miasteczkach.

Przyrost naturalny jest taki sam, jak w Polsce i waha się od 10 do 12,4 na tysiąc mieszkańców.

Ziemia litewska rodzi przede wszystkim żyto, dając przeciętnie rocznie około 6 milionów kwintali i obficie len, który tu się specjalnie troskliwie hoduje i który stanowi jeden z najważniejszych przedmiotów zbytu. Roczny przeciętny zbiór lnu — nasienia, wynosi 0.3 miliona q (Polska 0.6), a lnu-włókna 0.2 miln. q (Polska 0.3). Stan ten dowodzi wysokiej kultury ziemi i racjonalnej gospodarki, co jeszcze lepiej zilustrują następujące cyfry: Z jednego hektara ziemi zbiera się 11,49 żyta, 113,7 q ziemniaków, 4,2 q lnu-nasienia i 3,6 q lnu-włókna, nie mówiąc już o warzywach i owocach.

Gruntów użytkowych posiada Litwa 5.567 tys. ha, w tym gruntów ornych 2.637 tys. ha. 55,7 procent ogólnej powierzchni obejmują gospodarstwa rolne średnie, liczące od 8 do 30 ha, których jest najwięcej, gospodarstwa od 30 do 100 ha zajmują 27.5 procent, mniejsze niż 8 ha — 10,4 proc., ponad 100 ha — 6,4 proc.

Większość ludności, bo 85,7 proc. jest wyznania rzymsko i grecko-katolickiego, 3,8 ewangelickiego, 0,2 prawosławnego, 7,6 żydów i 2,7 procent innych.

Armia litewska organizowana była w latach 1918 — 1919. Improwizacja pierwszych lat dopiero stopniowo zamieniła się na systematyczną pracę nad wyszkoleniem i wyekwipowaniem wojska.

Trzeba przy tym podkreślić, że armia litewska szczególnie dotkliwie cierpiała wskutek braku odpowiedniego korpusu oficerskiego. To też historia ostatnich 18-tu lat armii litewskiej, jest historią ciągłych przesunięć personalnych i zmian systemu szkolenia.

Drugim czynnikiem, który powodował ciągłe zmiany, były przeobrażenia sytuacji politycznej. Pierwszymi nauczycielami armii litewskiej byli Niemcy.

Do roku 1932 oficerowie litewscy wyjeżdżali na studia do Niemiec, częste też były wizyty oficerów niemieckich na Litwie. Z Niemiec też czerpała armia litewska swe uzbrojenie.

Ten stan rzeczy zmienił się po dojściu do władzy w Niemczech ruchu narodowo-socjalistycznego, a zwłaszcza po zawarciu polsko-niemieckiego paktu o nieagresji.

Nowymi instruktorami armii litewskiej stali się oficerowie sowieccy. W roku 1935 współpraca armii sowieckiej z litewską doszła do tego stopnia zażyłości, że Litwa uzyskiwać zaczęła w Rosji kredyty na rozbudowę lotnisk, koszar i t. p. Równocześnie oficerowie sowieccy objęli faktyczną kontrolę nad wyszkoleniem wojska, nad zużyciem sum przeznaczonych na zbrojenia oraz nad pracami sztabu głównego.

Najbardziej jaskrawym wyrazem łączności armii litewskiej z armią sowiecką, były oficjalne wizyty b. szefa sztabu armii sowieckiej marszałka Jegorowa. W czasie swych wizyt Jegorow zapoznawał się z całokształtem prac dowództwa armii litewskiej. Nie było przed nim żadnych tajemnic, co wywoływało głośne niezadowolenie w oficerskim korpusie litewskim.

Wynikiem różnych zmian jest niejednolite wy-

Przemówienie Wiceprezesa Okręgu Pomorskiego L. M. K. Jerzego Kłossowskiego wygłoszone w dniu 8 kwietnia 1938 r. podczas manifestacji na Rynku Staromiejskim w Toruniu z okazji „Tygodnia Kolonialnego“

Dni kolonialne mają przypomnieć społeczeństwu, że ma przed sobą niezmiernie ważne zagadnienie do rozwiązania i utrwalenia w formie odpowiadającej potrzebom państwa. Zagadnieniem tym jest sprawa uzyskania dla Polski kolonij w tej czy innej formie, przy takich czy innych kombinacjach międzynarodowych.

Rozbiory Polski spowodowały, że jej istota gospodarcza rozdarta między trzech zaborców była przez całe stulecie martwym łupem. Właśnie to jedno stulecie było na przestrzeni wielowiekowej historii ludzkości okresem wyjątkowo ważnym, bowiem decydowało o mocarstwowej potędze, o bogactwie i sile międzynarodowej. Podział kolonij, rozwój przemysłu, postępy w żegludze, ożywienie handlu międzynarodowego — oto charakterystyki ubiegłego stulecia. Właśnie na wyczynach ubiegłego stulecia wyrosły te potęgi, które obecnie panują nad światem politycznie i gospodarczo.

Polska uległa przemocy 3 zaborców, ale Odrodzona Polska od 20 lat w dalszym ciągu ulega przemocy możnych tego świata, zmuszona jest jak mizerny wasal do płacenia ciężkiego haraczu na rzecz międzynarodowej finansjery, na rzecz obcych kupców i pośredników i na rzecz obcych państw, potrzebujących pieniędzy na utrzymanie w świecie swej przewagi.

Polska to kraj rolniczy. Ubiegłe lata przesileń gospodarczych rujnowały wieś, podobnie jak miasto. Nadmiar ludzi na wsi przy ograniczonych możliwościach reform rolnych stwarza bezrobocie, któremu miasta również nie mogą pomóc, bo nie posiadają wystarczających środków na stwarzanie nowych warsztatów pracy. Ponad 9 milionów obywateli czeka na wsi na poprawę swego bytu bądź to przez zwiększenie nadziałów ziemi, bądź też przez danie zatrudnienia w przemyśle. A przecież przy ogólnym przyroście ludności w granicach do ½ miliona rocznie miasta mają też dość znaczny przyrost ludności, a tym samym przyrost i bezrobotnych.

Te skomplikowane zjawiska ludnościowe w Polsce są przyczyną, że zagadnienie rozwoju przemysłowego staje się z dnia na dzień coraz bardziej palącym. Ciężkie stosunki ludnościowe na wsi i w mieście tym bardziej są przykre, że pewne odłamy mniejszości narodowych, korzystające z gościnności na ziemiach polskich od czasów Kazimierza Wielkiego, nie tylko nie poczuwają się do solidarności państwowej, lecz wysuwają zatrute jadem komunizmu i masonerii macki, starając się wzorem ośmiornicy zdusić pędy narodowe do rozwoju, zabić wiarę we własne siły. Tym bardziej więc zagadnienie rozwoju przemysłu staje się ciężkim i mozolnym, że nie tylko trzeba myśleć o samym rozwoju ale przede wszystkim o usuwaniu przeszkód, umożliwiających ten rozwój. Najdotkliwszą przeszkodą w tej mierze jest właśnie brak swobodnego dostępu do surowców z jednej strony, a możliwości nieskrępowanej międzynarodowej wymiany handlowej z drugiej strony.

Obecnie płacimy do obcych kieszeni setki milionów złotych za surowce, a drugie setki — za przewóz tych surowców do kraju. Obydwie te pozycje stanowią rocznie ponad trzy ćwierci miliarda złotych. Kto na własnej skórze poznał, co to znaczy depresja gospodarcza przeżywana przez nas od wielu lat, ten również dobrze zrozumie, co znaczy dla gospodarstwa narodowego odpływ setek milionów zł rok rocznie za granicę. Przecież nie tylko surowce są Polsce trwale i stale niezbędne. Nasze życie jest pod stałą presją dostaw kolonialnych, poczynając od artykułów żywnościowych, a kończąc na ubraniu, przedmiotach codziennego użytku, owocach, zegarkach, tytoniach i innych artykułach kolonialnych, które można liczyć na setki. Przecież u nas najpospolitszym rodzajem handlu na każdym rogu i w najbardziej zapadłych miejscowościach są właśnie sklepy towarów kolonialnych.

Tak wygląda nasz realny stosunek z koloniami.

A teraz stoi przed nami zadanie — ten krzywdzący stosunek zmienić. Żądanie dostępu do kolonij to jest nasze prawo, to jest nasza konieczność życiowa.

Jeszcze przed kilku laty trudno było mówić w Polsce o koloniach. Domorośli politycy i ekonomiści, dzielący mapę świata codzień przy małej czarnej, nazywali dążenia polskie do kolonij fantazją, marzeniem ściętej głowy, niebezpiecznym eksperymentem.

A obecnie stoimy wobec faktów, narzucających nam sprawę kolonij w sposób najbardziej kategoryczny. Obok Niemiec jesteśmy ostatnim mocarstwem, które ma prawo do kolonij, będzie je żądać i wbrew wszelkim przeszkodom musi je zdobyć.

Znajdujemy się w czasach, które zwiastują nam coraz to nowe zmiany w stosunkach międzynarodowych. Wydaje się, że rozpędowe koło wydarzeń historycznych od dłuższego czasu nie zwalnia swych obrotów, że najbardziej nieprawdopodobne przemiany polityczne i gospodarcze stają się w błyskawicznym tempie faktami dokonanymi ku zdumieniu i przerażeniu teoretyków i myślicieli. Realizm życia i siły zwycięża i uczy współczesne narody, że najcięższe zadania i najtrudniejsze cele można osiągnąć zbiorową wolą i zbiorowym czynem. Ale do celu trzeba maszerować w zwartych szeregach, z wiarą w swe siły, z poddaniem się wyższym potrzebom zbiorowego życia.

Liga Morska i Kolonialna wiecznie skłócone społeczeństwo polskie zbiera pod swe sztandary od szeregu lat i prowadzi je ku realizacji zadań morskiej polityki, niezbędnych dla mocarstwowego rozwoju.

Dynamizm potrzeb współczesnego państwa jest tak wielki, że zanim się jedno zadanie spełni, już pow-

staje nowe. W pracy morskiej tym bardziej to narastanie zadań ma miejsce, bo przecież dźwigamy się z niczego do wyżyny mocarstwa, bo morze z jego możliwościami w postaci handlu i żeglugi zaciążyło nad całym życiem gospodarczym Państwa i decyduje o jego rozwoju.

Nie trzeba się ani dziwić, ani zrażać, że równolegle z akcją rozbudowy marynarki wojennej musimy iść szybkimi krokami naprzód w akcji kolonialnej. Musimy się spieszyć, bo życie nas wyprzedza, a czas nie będzie na nas czekać. Musimy się pospiesznie przygotować do rozwiązania sprawy kolonialnej, bo nie można przewidzieć ani dnia ani godziny, kiedy to się może wyłonić na terenie międzynarodowym w ostatecznej formie.

Musimy żądać, ale wiedzieć czego, gdzie i jak. Te szczegóły właśnie w porozumieniu z czynnikami państwowymi mozolnie opracowuje Liga Morska i Kolonialna.

Obchodząc dni kolonialne na Pomorzu trzeba podkreślić, że ta nadmorska dzielnica Polski nie wykazała dotychczas takiej aktywności w zakresie spraw morskich, na jaką chociażby z samego położenia geograficznego powinna się zdobyć.

Pomorze jeszcze 4 lata temu było na przedostatnim miejscu w statystyce Ligi Morskiej i Kolonialnej. Obecnie Pomorze dźwignęło się w górę pod względem pracy dla morza, ale wciąż jeszcze ma przed sobą takie od morza oddalone dzielnice, jak Lublin, Radom i Kielce. Przecież Pomorze dotychczas nie dowiodło, że jest przeznaczone do przodowania w sprawach morskich. W Gdyni mało się odczuwa, że leży ona w obrębie Pomorza.

Ten słaby związek Pomorza z wybrzeżem jest przyczyną, że akcja morska z głębi kraju idzie do wybrzeża jakby tranzytem przez Pomorze, istnieje jakby pomost łączący Gdynię bezpośrednio z Warszawą, Katowicami, Krakowem i Lwowem.

Ta stosunkowo mała aktywność Pomorza w zainteresowaniu sprawami morskimi i w czynnej pracy dla morza jest zjawiskiem zupełnie sprzecznym z chlubną przeszłością Pomorza. Wiemy, że Pomorze trwało wieki na swym polskim zagonie, przy swoim polskim warsztacie pracy, przy swej wierze i ojczystym języku. Pomorze umiało trwać ramię przy ramieniu w walce o swój byt, umiało również maszerować w zwartych szeregach, gdy trzeba było walczyć o swe narodowe ideały.

W obecnych czasach Pomorze jest granitem, na którym Polska buduje swą mocarstwową przyszłość. Dlatego też koniecznym jest, aby Pomorze w pracach morskich wysunęło się na czoło wszystkich dzielnic polskich i aby zajęło w działalności morskiej miejsce, należne jej prawem historii i geografii. A choć ta historia nie zawsze w przeszłości była dla nas przychylną, a geografia do dzisiaj walczy z nami, to nie trzeba zapominać, że mocą ducha, niezłomną wolą i jednością można zgromadzić takie siły, które będą w stanie poprawić tę złośliwą historię i geografię.

Przez szereg ubiegłych lat Liga Morska i Kolonialna wytrwale ustawiała naród polski frontem do morza. Pomorze też stanęło frontem do morza, ale tyle tylko, że stanęło, a przecież każdy front formuje się po to, aby ruszyć do walki o to, co nam jest potrzebne i co nas boli.

Front morski w Polsce trzeba pospiesznie uzbrajać w świadomość prawd morskich, z których najdonioślejsza głosi, że kolonie są ukoronowaniem mocarstwowych dążeń.

Front morski w Polsce musi szybko sformować kolumnę marszową i w zwartych szeregach bojowników o morskie jutro naszego państwa ruszyć na drugi kraniec naszych linij żeglugowych, tam do kolonij, w których tkwi sedno możliwości rozwoju przemysłu i handlu.

Polska żąda kolonij dla siebie i będzie żądać wszelkimi dostępnymi jej sposobami i przy każdej okazji.

Polska nie da się krzywdzić, ani okradać międzynarodowym aferzystom finansowym.

Polska rusza do bezkrwawej walki o kolonie i zwraca się do Pomorza z apelem, aby w tej walce stanęło na czele.

posażenie armii litewskiej, która posiada obok dział niemieckich, rosyjskie, francuskie, czeskie i t. d. W lotnictwie przeważają samoloty czeskie, a karabiny maszynowe i czołgi pochodzą z Francji i Rosji sowieckiej. Podobnie ma się rzecz i w innych dziedzinach uzbrojenia.

Armia litewska na stopie pokojowej liczy około 24.000 ludzi i składa się z 8 pułków piechoty, 2 pułków kawalerii, 3 pułków artylerii, z batalionu samochodów pancernych, batalionu czołgów, pułku lotniczego i pułku wojsk technicznych. Prócz armii regularnej, posiada Litwa organizację półwojskową „strzelców“ (szaulisów), która liczy około 50.000 członków. Szaulisi uzbrojeni są w karabiny. Poza tym harcerstwo litewskie jest zmilitaryzowane.

Litewska marynarka wojenna, dotychczas posiadała tylko jedną kanonierkę, obecnie toczą się pertraktacje ze stocznią francuską w sprawie budowy łodzi podwodnej.

Sytuacja terenowa Litwy, ze względu na regularność budowy jej terytorium, jest dość dogodna dla organizowania przez nią działań wojennych, natomiast poważnym minusem w organizowaniu tej obrony jest szczupłość terytorium, nakazująca litewskiemu dowództwu od pierwszych działań przystąpić do zaciętej obrony terenu, którego jest zbyt mało, by oddanie jego mogło być przedmiotem manewru. Z drugiej zaś strony możliwości mobilizacyjne Litwy są bardzo ograniczone i dają mało szans na powodzenie zaciętej obrony. Szybko wyczerpie ona siły Litwy.

Poważnie też przedstawia się kwestia zaopatrzenia armii na wypadek wojny w materiały wojenne. Litwa skazana jest na dostawę ich z zewnątrz, przy czym, z powodów natury komunikacyjnej, tylko Związek Sowietów może być brany pod uwagę, jako ich dostawca. Z tej jednak strony rozkład gospodarczy Sowietów stawia pod znakiem zapytania wartość tej pomocy i w ogóle możliwość jej okazania. Poza tym warunki komunikacyjne, panujące na terytorium Litwy, nie pozwalają na stawianie pomyślnych horoskopów, a które w wypadku wojny mogą okazać się tragiczne.

Stosunkowo dobrze przedstawia się na Litwie szkolnictwo.

Ustępując z ziem litewsko-żmudzkich pozostawiły władze rosyjskie po stu kilkudziesięciu latach panowania 790 szkół powszechnych, z których tylko 100 miało język wykładowy litewski, 1000 nauczycieli i 50.000 uczniów.

Po 18-tu latach wolności, w roku 1937 ilość szkół powszechnych wynosi 2092 szkoły 4-klasowe, 295 — 6-klasowe, w których uczy się 269.950 dzieci, jest 37 liceów, oprócz gimnazjum i progimnazjum, o 16.014 uczniach, uniwersytet o 7 fakultetach i 3.004 słuchaczach, akademia rolnicza, akademia weterynaryjna, wyższy instytut handlowy, wyższy instytut pedagogiczny, szkoła sztuk pięknych i konserwatorium muzyczne.

To też ilość inteligencji rdzennie litewskiej, która przed wojną była niewielka, wzrasta z każdym rokiem i liczba młodzieży, która skończyła średnie szkoły, wynosi już 11 tysięcy.

Pierwsza gazeta w języku litewskim została założona w 1832 r. w Prusach Wschodnich i miała charakter pisma kościelnego, w 1925 r. było 90 periodyków o 100 tysiącach egzemplarzy nakładu, a w 1937 r. było ich już 157 z 830 tys. nakładu, wobec czego na 3 osoby wypada jeden egzemplarz.

Najlepszym dowodem dbałości państwa o stan kulturalny kraju jest przeznaczenie w budżecie 1937/38 r. 56 milionów litów na cele oświaty, co stanowi 15 procent ogólnej sumy budżetowej.

Jednak wobec małego procentu ludności miejskiej, specyficzne cechy cywilizacji miejskiej uwidaczniają się słabo, czego dowodem jest, że przed kilku laty było na Litwie zaledwie 45 kin, a ilość radioabonentów w roku zeszłym wynosiła 35.000, czyli 14 abonentów na 1000 mieszkańców.

Wytrwałość i przywiązanie do ziemi rodzimej — oto charakterystyczne cechy Litwinów, a wzrastająca stale zamożność jest przyczyną kwitnącego stanu państwowego organizmu litewskiego.

Przeszłość warta wzmianki

(Wczoraj i dziś jednego z wielu).

Czas szybko ucieka... Parę lat — całe życie. Iluż sportowców, ex-mistrzów znikło z areny sportowej?... Zwyciężali na boiskach, na bieżniach, na torach kolarskich, pływackich, regatowych. Byli pierwsi na arenach, ringach i na szosach. Garsteczka z nich zaledwie przewodzi w ogniskach, klubach i stowarzyszeniach, nadając puls i rytm garstce swego świata sportowego. Wielu znikło zupełnie — nie wiadomo nic o ich losie. Pisząc o nich — wspominając ich, składamy należne im sportowe „Cześć". „Dziś" ma swoich asów — „Wczoraj" też je miało. Oto jedno z wspomnień. Lato 1932 r. Bydgoszcz odświętnie przybrana. Okręgowe zawody o mistrzostwo Pomorskiego K. P. W. — gości KaPeWiaków kilka tysięcy. Trzydniowe zawody — ostatecznie mają swój finał, w niedzielę po południu na stadionie miejskim. Olbrzymie tłumy publiczności są świadkami finałów lekkoatletyki, gier sportowych, popisów gimnastycznych i wyścigów kolarskich na torze. W tych ostatnich — nasza koalicja bydgoskich kolarzy, silna i pewna siebie, walcząca nie całkiem fair — zdystansowana została przez... parę nóg, świetnego wówczas ciała. Właściciel tegoż — skromny kolarz, skierował oczy wszystkich na siebie. Rozpalił entuzjazm widzów — a, nas kolarzy — porwał sobą. Były cztery biegi: 5 km, 10 km, 15 km oraz wyścig australijski — indywidualny. Tenże kolarz w 5 km biegu miał czas 6.55 minuty (wyśrubowany znakomicie). W połowie 10 km biegu dokonuje szaloną ucieczkę, pieczętując tym swoje zwycięstwo. Wachlarzem chcemy go zamknąć w 15 km biegu — cóż, kiedy gigantycznym zrywem od razu bierze prowadzenie; nie wypuszcza nikogo przed siebie i wygrywa bezapelacyjnie.

Do rozegrania pozostał wyścig australijski. Start do tego biegu odbył się prawie zaraz, po zakończeniu 15 km biegu; a to, wobec zmęczenia zwycięzcy 15 km biegiem, miało jednemu z naszych przynieść zwycięstwo. Pewni tegoż, w tym ostatnim chociaż biegu, po starcie z miejsca ruszyliśmy pełną szybkością. Linia biegu od razu się wygięła, za chwiała...

Chrzęst nawierzchni toru, tarcie kół — dawały jedynie poczucie biegu. To szybkość — sprawiała wrażenie jakby lotu. Widzowie na trybunach wstali, nie mogąc usiedzieć pod brzmieniem emocji i wzruszenia. Ryk ogromny zalał cały stadion; zarżnięci tempem — z okrążenia, na okrążenie wszyscy odpadli — z wyjątkiem dwu asów. Bydgoszcz dopingowała swego. W walce tej zwycięsko wyszła jednak para nóg... bohatera dnia, kolarza T. Suplickiego z Torunia. Garstka toruniaków szalała. „Sportowa Bydgoszcz" milczała, bo zwycięstwo T. Suplickiego zbyt potężne zrobiło wrażenie, bo ambicja jej zbyt była zadraśnięta. Takich kolejnych zwycięstw — w tylu biegach — w ciągu jednego popołudnia (precyzując: w ciągu dwu godzin) — przez jednego człowieka — nikt się nie spodziewał.

Kolarz Torunia zwyciężył silną koalicję Bydgoszczy, reprezentantów Gdańska, Gdyni, Tczewa i t. d. Doprawdy — to był zawodnik o wielkiej sprawności fizycznej, zrównoważony, wierzący w siebie i mający bezwzględną wolę zwycięstwa.

Piękne chwile!... Ostatecznie jednak — ginące w bezmiarze czasów. Wyczyn T. Suplickiego, jak i jego nazwisko, zapomniano. Zwykła kolej rzeczy.

— — — — — — — — — — — — —

Bezmierne przestrzenie wód, rozhukane wody. Różne porty, słońce upalne... Mewy kąpiące skrzydał w białej koronce fal... Oto świat — w którym od pięciu już lat ex-kolarz — marynarz T. Suplicki mozolną pracą zdobywa chleb codzienny.

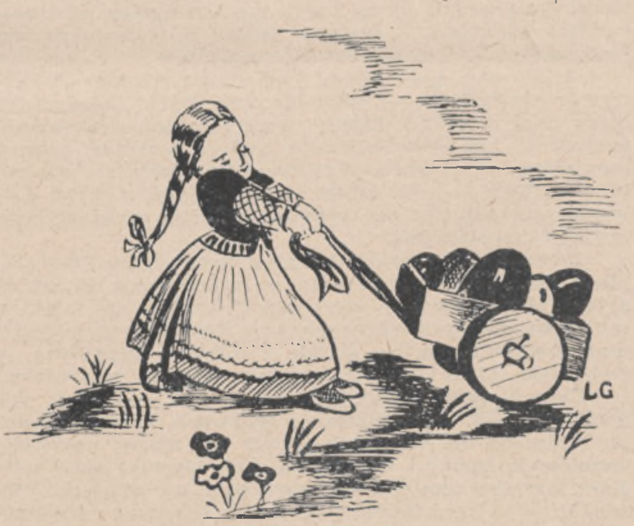
W. Ciesielski

ST. MSZCZUJ-KOTERBA

ZŁOTE JAJKO

Opowieść wielkanocna.

Emerytowany radca Buraczek i jego połowica Maria byli to sobie skromni, cisi i poczciwi ludzie, którzy, z uwagi na swą dość dobrą sytuację materialną, nie mieliby większych powodów do narzekania na znośny żywot, jaki im przypadł w udziale — gdyby nie jedno „ale". Zawistny los poskąpił im dzieci. Dopóki byli młodzi, nie przejmowali się tym zbytnio, być może łudzili się nadzieją — konsolacji. Ale mijały lata. Pan radca Buraczek przeszedł na emeryturę, pani Maria też postarzała się i utraciła wiele wdzięków ze swej młodości (mimo troskliwych zbiegów kosmetycznych). A tu dzieci jak nie było, tak nie było. „Ha, trudno — filozofował czasem po dobrym koniaczku pan radca — widać dosyć już ludzi w Polsce, to też i dzieci mniej się dziś rodzi. Mało to mamy bezrobotnych, trzeba ich więcej?" Pani Maria popłakiwała czasem z cicha gdzieś w kąciku, gdy jej mąż nie widział. Wszak serce jej płonęło macierzyńską miłością, jak serce każdej kobiety, a tu nie było — tej tak upragnionej pociechy. Pan radca widział smutek swej żony i próbował ją jakoś rozweselić. Raz na gwiazdkę kupił jej dużą lalkę za 10 złotych, naturalnej wielkości, która ruszała oczyma jak żywa, a za pociśnięciem guziczka-pępuszka krzyczała wyraźnie: — ma-ma, ma-ma. Popłakali się wtedy przy tej zabawce jak bobry i jakoś im się ulżyło.



Przyszło przedwiośnie, zakwitły śnieżyczki i przebiśniegi. Znowu smętny śpiew kosa zwiastował bliską wiosnę.

Przyleciały skowronki i bociany, niedobre boćki, które zapomniały o domu państwa Buraczków. Ale tego roku — o dziwo — jedna para bocianów coś długo, bardzo długo, krążyła ponad domem, w którym mieszkał pan radca. „No, no, najdroższa, pocieszmy się, jakoś bociany zaczynają krążyć nad naszym domem" — śmiał się radca, pokazując żonie szybujące bociany. Ta w odpowiedzi przytuliła się tym mocniej do niego i nic nie odpowiedziała, ale uśmiech błogi okrasił jej twarz, rzadki gość na jej obliczu.

I znowu, jak co roku, zbliżały się święta Wielkanocne. Święta były dla państwa Buraczków najsmutniejszą chwilą w całym roku. Gdy widzieli gorączkową krzątaninę przedświąteczną w sąsiednich domach, krzyki i hałasy dzieci bawiących się radośnie na podwórzach, w ogrodach i na ulicy, skupione przy stołach rodziny, w których gronie zjawiały się dzieci dorosłe, przyjeżdżające na ten dzień ze swych posad z dalekich stron — gdy to wszystko widzieli, ściskało im się serce z bólu, tym więcej bowiem odczuwali całą pustkę i bezcelowość swego życia.

A właśnie okres świąt Wielkanocnych, świąt budzenia się całej przyrody do życia, jest specjalnie miły dla dziatwy. Jej swawolne zabawy, dyngusy i śmigusy, oblewanie się wodą i zielony dyngus, polegający na biciu pręcikami przydybanych po nogach, szukanie jaj i kraszanek — ileż to okazji do śmiechu i radości życia. Dla państwa Buraczków był to okres smutku i melancholijnych rozmyślań, tęsknoty za czymś, co się spełnić nie może — za własnym jasnowłosym, niebieskookim, pucołowatym bobaskiem.

Pani Maria życzyła sobie oddawna jakiejś ozdóbki. Pan radca umyślił sobie sprawić jej niespodziankę właśnie w pierwszy dzień świąt Wielkanocnych i dlatego postanowił zakupić potajemnie w sklepie jubilerskim piękny złoty wisiorek. Chciał swej żonusi złożyć ten prezent w pierwszy dzień świąt wraz z życzeniami świątecznymi, by jej sprawić tym radość i odwrócić jej myśli w innym kierunku.

Kilka dni przed świętami wstąpił do jubilera i po dłuższym namyśle i przebieraniu wybrał piękny wisiorek, bardzo stosowny na prezent wielkanocny, bo składający się z małego złotego jajka, wiszącego na ozdobnym złotym łańcuszku. W małej etui, wyścielonej niebieską watą, niósł radca Buraczek swój drogocenny skarb do domu. Gdy jednak po pewnym czasie zachciało mu się jeszcze raz w spokoju obejrzeć zakupiony wisiorek, zbladł włożywszy rękę do kieszeni, w której umieścił ten drogocenny drobiazg. Etui, a wraz z nią złotego jajka w kieszeni nie było. Pan Buraczek musiał widocznie wyrzucić ją po drodze z kieszeni, wyciągając chusteczkę do nosa, gdyż katar miał silny, jak to zwykle bywa na wiosnę. Z rozpaczą w sercu począł szukać zguby. Szedł tą samą drogą z powrotem, spoglądając na wsze strony, czy gdzieś nie ujrzy zguby. Nigdzie ani śladu. Wstąpił w końcu do jubilera, w nadziei, że może przez roztargnienie zostawił etui w sklepie. Ale i tu spotkał go zawód. — Ponieważ brakło mu pieniędzy na kupno nowego złotego wisiorka, musiał odejść jak niepyszny, rozmyślając z goryczą w sercu, że nic z całej niespodziaki. Tyle pieniędzy — i jak w błoto rzucił.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień świąt Wielkanocnych. Rozdzwoniły się dzwony na rezurekcję. Z tysięcy piersi wyrwała się wspaniała pieśń rezurekcyjna, pieśń triumfu i chwały, radości i wesela: „Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał...

Tylko w domu państwa Buraczków smutek panował po dawnemu. Zaraz z rana co prawda pan radca odświętnie wystrojony złożył życzenia swej małżonce, wręczając jej przy tym bukiet kwiatów wiosennych. Tak, niestety, drogocenny upominek, kupiony potajemnie na prezent świąteczny, dotąd się nie odnalazł, więc chcąc nie chcąc musiał radca ograniczyć się do tego jakże skromnego wyrażenia swych uczuć. W milczeniu siedzieli przy stoliku obficie zastawionym jadłem i napojem, jak być winno w dzień świąteczny. Ale nie mieli ani humoru, ani apetytu. Gdy z innych domów dolatywały ich wesołe odgłosy śpiewów i zabaw dzieci, tym więcej musieli teraz odczuwać całą pustkę i bezsens swego życia.

Nagle rozległ się dzwonek.

Służąca, która poszła drzwi otworzyć, wróciła za chwilę

ż doniesieniem, że za drzwiami stoi jakiś ubogo wyglądający chłopczyna, pewnie żebrak mały, bo to proszę państwa tyle się teraz pęta tego po świecie, że aż trudno się opędzić. A jakie to natrętne i bezczelne. Ten tam pędrak na przykład chce mówić osobiście z samym panem i nie można go odpędzić.

Tknięty jakimś przeczuciem wyszedł pan radca do chłopca i ze zdumieniem stwierdził, że ma przed sobą nadzwyczaj pięknego i czysto, choć skromnie ubranego chłopczyka. Stał on nieśmiało przed nim, trzymając w ręce mały pakiecik. Z miłością spoglądał radca na jego piękne blond włosy, duże, niebieskie oczy, piękną twarzyczkę zarumienioną od biegu, czy też ze wzruszenia. Takiego chłopysia mieć sobie życzyli, takiego właśnie jak ten. A chłopczyk tymczasem, przyjrzawszy się mu także uważnie, zapytał cichym, nieśmiałym głosem: „Czy tu mieszka pan radca Buraczek?"

„Tak, to ja jestem, a ty czego właściwie chcesz?" — dopytywał się zaintrygowany pan radca.

Wówczas chłopczyk zaczął opowiadać niezbyt składnie, w miły dziecięcy sposób, jak to on wczoraj znalazł tą etui ze złotym jajkiem w środku i chciał ją oddać temu panu, którego nazwisko było wypisane na pudełku. Ten pan jednak, który okazał się jubilerem, kazał mu zanieść to pudełko tu. Wczoraj było już za późno, więc oddaje je dziś.

Pan radca Buraczek poczuł nagle w swym sercu przypływ niezwykłego wzruszenia. Porwał nagle chłopca, podniósł w górę i przycisnął ze wzruszeniem do piersi, obsypując go gorącymi pocałunkami. Chłopiec tak był przelękniony tym wszystkim, co się działo, że bez oporu dał się zaprowadzić do pokoju, gdzie siedziała pani Maria. Tu jeszcze raz musiał opowiadać wszystko od początku z najdrobniejszymi szczegółami, choć pani Maria więcej interesowała się nim samym, niż tym wszystkim. Jak urzeczona wpatrywała się w tego rozkosznego, tak małego, a tak już rezolutnego malca. Litość wielka i macierzyńskie uczucia wezbrały w jej sercu, gdy dowiedziała się, że chłopiec nie ma rodziców, których zupełnie nie zna, gdyż umarli wkrótce po jego urodzeniu. Gdy państwo Buraczkowie dowiedzieli się jeszcze, że chłopca wychowuje daleka jego krewna, jakaś tam ciotka, biedna szwaczka, zarabiająca na życie szyciem bielizny, postanowili wziąć chłopca do siebie na wychowanie.

Wszyscy też zaraz zasiedli do jedzenia, śmiali się i rozprawiali głośno i z ożywieniem, aż zwróciło to uwagę sąsiadów. Chłopczyk żywy jak iskra — jadł za siedmiu, hałasował za dziesięciu. Pan Buraczek patrzył nań z rozrzewnieniem zapewniając przy tym wciąż od nowa swą uszczęśliwioną żonę:

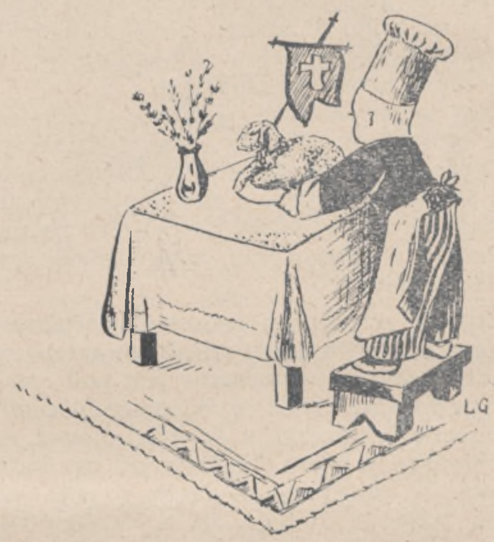


Dziewczęta wiejskie przy malowaniu „pisanek" czyli „kraszanek" wielkanocnych.

„O, to taki smyk, taki łobuz zupełnie jak ja w tym wieku byłem. A podobny do mnie jakby mi z oka wyskoczył".

Pani radczyni kiwała tylko głową z zadowolenia, gładząc ręką od czasu do czasu zawieszony na szyi wisiorek ze złotym jajkiem. Była szczęśliwa i jak jeszcze szczęśliwa. Pan radca po raz pierwszy od długiego czasu spróbował śpiewać i swym baranim nieco głosem zaczął: „Wesoły nam dziś dzień nastał..." Pani radczyni i mały hultaj z radością podchwycili tę pieśń. „Alleluja, alleluja" — grzmiał przy końcu każdej zwrotki pan radca.

„Co to, u radcostwa śpiewają, co to, chyba mi się coś zwidziało" — dziwił się na głos emerytowany oficjał sądowy z naprzeciwka. „Może starego radcę reaktywowali do służby czynnej, albo wygrał na loterii" — medytowała stara panna z sąsiedniego domu.



A tymczasem radca ubrawszy płaszcz i kapelusz wychodził z domu, trzymając za rękę chłopczyka: „Zaraz powiem jego opiekunce, jako odtąd my się nim zajmiemy. Damy go do szkół i zrobimy z niego porządnego człowieka. Jak myślisz, Marylo?"

„No, już ty dobrze wiesz, że i ja tak myślę, jak ty".

Ciekawostki

NOWY SPOSÓB KONSERWACJI DRZEWA

Zazwyczaj drzewo, oczyszcza się z kory dopiero po ścieciu, a następnie się je suszy. Różne soki, a także i pasożyty, pozostają przy tym wewnątrz drzewa, powodując w następstwie jego gnicie, pomimo impregnowania różnymi solami i kwasami.

Ostatnio poczyniono ciekawe próby z nową procedurą, mającą zabezpieczyć drzewo od gnicia. Korę usuwa się jeszcze z całkiem zdrowego drzewa na pniu i pozostawia w tym stanie przez pewien czas. Ponieważ kora jest niezbędna dla utrzymania drzewa przy życiu, dostarczając mu niezbędnego pokarmu i wilgoci, pozbawione kory sztuki powolnie zamierają, zamieniając się w martwe mumie i lignocelulozy. Przed tym jednak wyczerpuje się całkowity zapas wilgoci oraz zamierają wszystkie karmiące się sokami drzewa pasożyty.

Zakonserwowane w ten sposób i ścięte następnie egzemplarze są nadzwyczaj odporne na wszelkie grzybki i mogą stać lub leżeć w ziemi niezwykle długo.

Techniczne pisma twierdzą, że mumifikowane w ten sposób słupy telegraficzne służą następnie ponad lat 20, podkłady kolejowe jeszcze nawet dłużej.

Konserwowane dawnymi sposobami n. p. koperwasem miedzi, słupy i podkłady trzeba było wymieniać już po upływie kilkunastu lat.

Pod znakiem Wielkiej Rzeszy

Niemcy rozkołysane są w tej chwili politycznie, jak długie i szerokie, przygotowywaniem umysłów do głosowania za polityką Führera po przyłączeniu Austrii. By ten ruch ogarnąć wyobraźnią, trzeba stosować wymiary, jakie Trzecia Rzesza zwykła nadawać takim swoim działaniom, a więc olbrzymie. Na czele mówców, wśród których znajdują się wszyscy najwybitniejsi i najgłośniejsi członkowie rządu i przewódcy ruchu nacjonal-socjalistycznego, kroczy sam Adolf Hitler, który w ubiegłym tygodniu przemawiał kilkakrotnie, zaczynając od Królewca i kończąc na Stutgarcie i Grazu.

Dlaczego głosowanie odbędzie się w całych Niemczech, a nie tylko w Austrii, objaśnił kanclerz Hitler w mowie królewieckiej, uwydatniając znaczenie przyłączenia ziem nad Dunajem.

„Jest to powodzenie ogromne — mówił — które odczuć muszą całe Niemcy, więc tym razem powinno to być głosowanie święte, w którym całe Niemcy muszą stanąć w szeregu i złożyć swe wyznanie wiary“. Stąd ten zakrój jakby pospolitego ruszenia Wielkiej Rzeszy w głosowaniu, zapowiedzianym na niedzielę 10 kwietnia.

Sztandar wspólnego poczucia narodowego niemieckiego powiewa nad tym głosowaniem niewątpliwie jednocząco. I powodzenie jest pod tym sztandarem zapewnione. Któż w Niemczech miałby głosować przeciw przyłączeniu Austrii? Nawet przeciwnicy nacjonal-socjalizmu władającego, czy katolicy, czy socjaliści, tę dziedzinę wyłącza z pola swych zastrzeżeń, naprzód dlatego, że są zwolennikami zjednoczenia Niemców, a następnie i dlatego, że katolicy lub socjaliści austriaccy wydają im się pożądanymi posiłkami dla własnych szeregów. A w Austrii? Nikt nie odmówi sztabowi nacjonal-socjalistycznemu, który przygotowuje głosowanie, zręczności i sprawności w oddziaływaniu również na szerokie rzesze austriackie. Ludności robotniczej, w znacznej części socjalistycznej, ukazał feldmarszałek Goering, w swej mowie wiedeńskiej, widnokrąg pomyślności, nie bez poparcia odrazu zaległymi zarządzeniami rzeczywistymi, jednającymi te warstwy, a wobec ludności katolickiej, czyli głównego zrębu głosujących na ziemiach austriackich, zajęto stanowisko pojednawcze.

I oto jednym ze zjawisk najbardziej znamiennych w tej chwili jest postawa katolicyzmu austriackiego. 2 tygodnie temu odczytano we wszystkich kościołach tamtejszych wspólne oświadczenie biskupów, z arcybiskupem wiedeńskim kardynałem Innitrerem i arcybiskupem salzburskim Waitrem, na czele. Powołuje się ono na zapewnienie pełnomocnika kanclerza Hitlera, p. Buerckela, iż prawa wiary będą szanowane, wyraża uznanie nacjonal-socjalizmowi za działalność gospodarczo-społeczną i za zwalczanie bolszewizmu, oraz wzywa wiernych do głosowania, popierającego kanclerza i Führera. Przesyłając te oświadczenia p. Buerckelowi, kardynał Innitrer dołączył dopisek własnoręczny: Heil Hitler!

Stanowisko to nie znalazło uznania Stolicy Apostolskiej. Oświadczenie watykańskie w Osservatore Romano, stwierdza, iż biskupi austriaccy działali tu bez porozumienia ze Stolicą Apostolską, bez zatwierdzenia późniejszego, na własną odpowiedzialność. Watykan pamięta, iż początkowe stanowisko nacjonal-socjalizmu w Rzeszy wobec katolicyzmu, nie szczędzące obietnic, popartych nawet zawarciem konkordatu, okazało się całkowicie zawodne bez dłuższego na to czekania. Nie przebrzmiała też encyklika Ojca Świętego z przed roku, wspaniała mocą dowodową i potęgą ostrzeżeń, której dalszym wyrazem jest obecne stanowisko Watykanu po orędziu biskupów austriackich.

Dziś hałem naczelnym i wszystkie inne zagłuszającym w tym ruchu politycznym przed głosowaniem jest pojęcie Grossdeutschland lub też Grossdeutsches Reich, rozbrzmiewające w mowach (o tysiącletniej walce narodu niemieckiego o tę Wielką Rzeszę mówił p. Alfred Rozenberg w Dortmundzie) i z wszech stron oświetlane w dziennikach.

Nie dawno na naczelnym miejscu w Voelkische Beobachter p. dr Koppen określił zdarzenie obecne jako Schicksalsstunde des deutsches Ostens, czyli godzinę przeznaczeń dziejowych Wschodu niemieckiego, narzekając, że dawna Ostmark, odkąd stała się Austrią Habsburską, przestała być: „... piastunką nowych celów Rzeszy na Zachodzie“.

Czyżby obecna chwila przeznaczeń dziejowych Wschodu niemieckiego, jak to określa pisarz niemiecki, nieść miała w sobie zapowiedź wskrzeszenia tych celów?

Rozbrzmiewa również obecnie hasło i pojęcie Gesamtdeutschland, biorąc w rachubę także wszystkich Niemców pogranicznych, pod znakiem zbierania ziem, na których kiedykolwiek postała stopa niemiecka.

Czy rozwianie przez odpowiedzialne kierownictwo polityki niemieckiej mglistości, zbyt dusznej, spowijającej te hasła, szczepione młodzieży w szkołach, nie byłoby bardzo pożądane?

W tych dniach doniesiono z Niemczech, że dotychczasowa, powojenna, prowincja pograniczna od naszej strony p. n. Grenzmark Posen — Westpreussen przestaje istnieć samodzielnie od 1-go października r. b., gdyż były to tylko skrawki b. zaboru pruskiego. Południowe części przyłączone będą do prowincji śląskiej, a przeważna część do prowincji brandenburskiej. Zachowanie jednak nazwy Grenzmark Posen — Westpreussen dla tego nowego powiatu brandenburskiego uwydatniane jest przez pisma niemieckie nieco za dobitnie.

Skoro istnieje po obu stronach dążność do stosunków pokojowych, uświęcona umową i zaznaczająca się rzeczywistym odprężeniem, jakże pożądana byłaby jasność, bez myśli, bez niedomówień, bez owych godzin przeznaczenia!



Uspakajający kompres

O wojnie mówi się w ostatnich czasach często i dużo. Toczy się ona w całej pełni w Chinach, dogasa w Hiszpanii, a wisiała na włosku w związku z konfliktem polsko-litewskim i austro-niemieckim.

Żadne chyba społeczeństwo nie pragnie wojny. Za dobrze mamy jeszcze w pamięci wojnę światową, a równocześnie z całą wyrazistością zdajemy sobie sprawę czym będzie przyszła wojna.

To też ostatnie przemówienie Nevilla Chamberlain'a w Izbie Gmin, podziałało ogromnie uspakajająco na rozgorączkowaną wyobraźnię rozpolitykowanych państw.

Neville Chamberlain nie należy do kategorii błyskotliwych trybunów, działających na wyobraźnię i apelujących do uczuć. Jest zrównoważony, rzeczowy, pozbawiony efektów frazeologicznych, posiada dar przekonywania trzeźwą i praktyczną oceną sytuacji, a to daje mu do ręki broń, dzięki której może się mierzyć z najgroźniejszymi przeciwnikami.

Określenie stanowiska Anglii, wobec dzisiejszej sytuacji międzynarodowej, nie było rzeczą łatwą, to też Chamberlain w swym przemówieniu odrazu zaznaczył, że chodzi mu jedynie o „stanowisko" w danej chwili, a nie o zasadnicze linie polityki brytyjskiej, które są znane i nie ulegają zmianom pod wpływem wypadków zewnętrznych.

Anglia pragnie utrzymać pokój, choć do walki, gdy zajdzie tego potrzeba, jest przygotowana.

Lecz o co i za co Anglia ma się bić?

Przede wszystkim o wolność Anglii i jej prawo do życia według „standardu" jaki przekazała jej tradycja i charakter narodowy, za imperium brytyjskie i zabezpieczenie jego komunikacji, a wobec państw, którym zagwarantowała nietykalność traktatami, spełni lojalnie swój obowiązek. Stanie w obronie Francji i Belgii, broniąc je przed niesprowokowanym atakiem, będzie broniła Egiptu, Iraku i Portugalii, jak również innych państw z tytułu członka Ligi Narodów.

Anglia zawsze była przeciwniczką automatycznych sankcyj i ustalania z góry definicji napastnika. Starała się zawsze zachować możność największej swobody decyzji i wyciągnięcia konsekwencji zgodnie ze swymi żywotnymi interesami i od tej zasady nie odstąpi.

Nie chcąc zostawiać niektórym państwom, a przede wszystkim Czechosłowacji, złudzeń, Chamberlain wyraźnie powiedział, że Anglia nie jest w możności udzielić z góry gwarancji dla tych obszarów Europy, na których interesy jej nie są bezpośrednio zaangażowane. Otaczając opieką Czechosłowację, nie mogłaby jej odmówić innym państwom, co mogłoby spowodować nieobliczalne konflikty europejskie i w rezultacie wplątać Anglię w wojnę, której ta pragnie uniknąć.

Odmawiając wszelkich zobowiązań z góry, tak w stosunku do Czechosłowacji, jak i Francji, gdyby ta stanęła w obronie Czech, Chamberlain wyraźnie określił stanowisko Anglii na wypadek wojny europejskiej. Brzmi ono dosłownie:

„Gdy ważą się losy pokoju i wojny, wchodzą w grę nie tylko prawne zobowiązania. Gdy wojna wybuchnie, trudno przypuścić, iż ograniczy się ona do państw, które ją podjęły. Niepodobna powiedzieć, gdzie się wojna skończy i jakie państwa będą w nią wplątane. Nieubłagana presja faktów może okazać się potężniejszą od formalnych oświadczeń i jest bardzo prawdopodobne, że inne państwa, niezależnie od stron przeciwnych na początku konfliktu, będą w nią wciągnięte. Odnosi się to specjalnie do Anglii i Francji, złączonych długoletnimi węzłami przyjaźni, ściśle przeplatającymi się interesami, wyznających te same ideały wolności demokratycznych i zdecydowanych do ich obrony".

Powiedziane wymownie.

Gdyby jednak, jak twierdzi opozycja, Chamberlain oświadczył jasno i niedwuznacznie, że Anglia postąpi od razu tak, jak w końcu będzie musiała postąpić, to słowa jego uspokoiły Europę i odstraszyłyby ewentualnych napastników.

Ale rząd jest innego zdania. Nie chce psuć porozumienia z Niemcami i już dziś tworzyć koalicji przeciw nim, jak również nie rezygnuje z osiągnięcia porozumienia z Rzymem, które dla Anglii jest kwestią bardzo ważną.

Tak więc Chamberlain nie narażając się jednym, uspokoił drugich, nie zrażając nikogo, a nawet powiedział parę słów w obronie Ligi Narodów, która zdaniem jego może kiedyś będzie instrumentem pokoju.

Nic więc dziwnego, że przemówienie Chamberlain'a zostało wszędzie przyjęte jednakowo. Mówiono o nim z jednakowym uznaniem tak w Paryżu jak w Berlinie, w Rzymie czy Pradze, tak Ameryce jak w każdym z państw europejskich, naturalnie z wyjątkiem Rosji, każde bowiem z państw znalazło w niej momenty dla siebie korzystne i uspakajające atmosferę międzynarodową.

Oczekiwane z takim napięciem przemówienie Chamberlain'a przyniosło ogólne odprężenie, tak bardzo dziś pożądane.

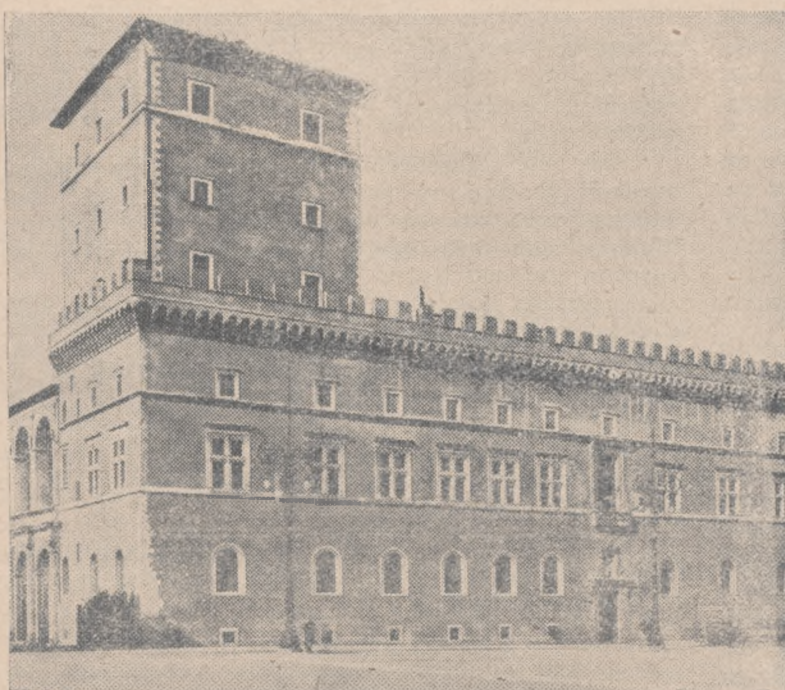


Lwy.

Świat na kliszy



Zamek królewski w Budapeszcie.



Pałac wenecki w Rzymie, rezydencja Mussoliniego.







Piękny widok z nad Dunaju na Wiedeń. Na dalszym planie wieżyce katedry św. Stefana.

BEZPŁATNY

DODATEK DO „STRAŻY NAD WISŁĄ"

dla komendantów, instruktorów i referentów wychowania obywatelskiego
w organizacjach przysposobienia wojskowego

Rola Wodza Naczelnego



Zrozumienie roli i stanowiska Wodza Naczelnego w hierarchii czynników państwowych w Polsce jest ściśle związane z pojęciem przyszłej wojny. Zadaniem bowiem Wodza Naczelnego włożonym nań przez ustawę o organizacji naczelnych władz wojskowych, jest przygotować naród i państwo do przyszłej wojny.

Jakaż będzie ta przyszła wojna? Nie jest może bliską, ale według wszelkich przewidywań ludzkiego rozumu, jest nieuniknioną. „Ciężkie miliardy", które pakują obecnie wszystkie państwa obydwóch półkuli w uzbrojenie, stają się kapitałem martwym z chwilą wyprodukowania broni. „Upłynnić" je mogą tylko potoki krwi, które zaleją świat w przyszłej wojnie. Można nad tym ubolewać, ale nie wolno myśli naszej cofać się tchórzliwie przed takim przewidywaniem. Doświadczenia wojny europejskiej i tych wojen, które po niej wybuchały lub toczą się obecnie, wskazują ponad wszelką wątpliwość, że będzie to wojna „totalna".

Ani krótkotrwały raid kawaleryjski czy lotniczy, ani same tylko walki orężne sił zbrojnych nie będą miały znaczenia rozstrzygającego o losach państw i narodów w przyszłej wojnie.

W wojnie tej zaangażowane będą wszystkie siły moralne i materialne stron walczących. Znaczy to, że zarówno stan gospodarczy kraju, a więc — jego przemysł, rolnictwo, rzemiosła, komunikacje lądowe i wodne, stan motoryzacji, a przede wszystkim i nade wszystko — stan moralny, poziom odporności duchowej, gotowości do ofiar i poświęceń całego społeczeństwa — wszystko to posiada znaczenie decydujące dla losów przyszłej wojny.

Wódz Naczelny, na którym ciąży obowiązek przygotowania przyszłej wojny, musi tedy mieć wpływ na wszystkie dziedziny życia państwowego.

Czy znaczy to, że ma być dyktatorem?

W ramach naszego ustroju, nakreślonego przez konstytucję kwietniową, wystarczy, gdy jest „druga osoba po Prezydencie Rzeczypspolitej", jak to w znanym okólniku uprzytomnił urzędom i społeczeństwu p. premier Sławoj-Składkowski.

Z racji stanowiska czynnika państwowego, na którym ciąży obowiązek i odpowiedzialność za przygotowanie przyszłej wojny, Wódz Naczelny nie jest obowiązany wtrącać się do czynności poszczególnych ministerialnych resortów. Ale jasne jest, że wszystkie resorty obowiązane są stosować się w swej działalności do naczelnego zadania Wodza Naczelnego, jakim jest przygotowanie przyszłej wojny.

Autorytet moralny Wodza i zadania, jakie ma on do spełnienia, muszą tedy mieć znaczenie rozstrzygające dla składu personalnego i kierunku prac każdoczesnego rządu w Polsce.

Wpływ autorytetu Wodza Naczelnego sięgać musi głębiej, aż do wnętrza życia społecznego i sił moralnych Narodu.

Społeczeństwo, które poddałoby się prądom defetystycznym, pacyfistycznym lub rozstrojowym i rewolucyjnym, mogłoby zniszczyć w zarodku całą pracę Wodza Naczelnego nad przygotowaniem przyszłej wojny.

Czy weźmiemy hasło rzucone przez Marszałka Śmigłego-Rydza o podciągnięciu Polski wzwyż, czy wmyślimy się w słowa gen. Dąbkowskiego o potrzebie szerokiego zrozumienia idei obrony kraju, to zawsze w rezultacie, w ostatecznym wyniku, obowiązek ścisłego zespolenia wszystkich sił państwa narodu i społeczeństwa dokoła osoby Wodza Naczelnego, na którym ciąży olbrzymi obowiązek przygotowania Polski do przyszłej wojny, a więc do nowej próby dziejowej, brzemiennej krwią i żelazem, z której wyjść musimy zwycięsko, postawić będziemy musieli na pierwszym miejscu.

MGR STANISŁAW WAŁĘGA

Historyczne prawo Polski do kolonii

Dziś, gdy coraz mocniej i stanowczej rozlega się po całej Polsce i świecie żądanie sprawiedliwego podziału mandatów kolonialnych między poszczególne państwa i przyznania Polsce obszarów kolonialnych dla skierowania na nie niezwykle silnej naszej emigracji robotniczo-rolnej, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że obok innych argumentów natury gospodarczej i społecznej, możemy rzucić na szalę jeszcze jeden silny argument, mianowicie — nasze niezaprzeczalne historyczne prawo do dawnej kolonii niemieckiej Kamerunu.

Dawna Polska przedrozbiorowa, par excellence szlachecka, zaniedbała zarówno sprawy morskie jak kolonialne. Lądowa dusza szlachty polskiej, wytężenie całej naszej ekspansji w kierunku wschodnim i południowo-wschodnim przy równoczesnym lekceważeniu spraw związanych z faktycznym władztwem na morzu — oto kardynalne błędy naszych przodków. A wszystko to działo się w chwili największego kolonialnego wysiłku wszystkich zachodnio-europejskich narodów, kiedy to nawet tak małe państwa jak Dania i Holandia zdołały poddać sobie w krótkim czasie ogromne obszary zamorskich kolonij.

Nie można jednak powiedzieć, aby dawna Polska nie miała w ogóle zamorskich kolonij. Miała je pośrednio, choć może sama o tym nie wiedziała, bo i co ją to zresztą obchodziło. A jednak wychodząc z prawnego założenia miała Polska w XVII wieku, przez krótki coprawda czas, dosyć duże i piękne kolonie i to zarówno w Ameryce środkowej jak i w Afryce. A było to tak.

W roku 1561 rozprzęgł się zupełnie niemiecki zakon rycerski Kawalerów Mieczowych wskutek zatargów wewnętrznych i szerzenia się wśród jego członków protestantyzmu. Do Kawalerów Mieczowych należały kraje nadbałtyckie od Ingrii (czyli od Petersburga) i zatoki Fińskiej aż po Litwę, czyli dzisiejsza Łotwa i Estonia. Na ziemie te ostrzył sobie zęby car Iwan Groźny, który też wpadł zaraz do ziem Kawalerów Mieczowych, zwanych wówczas Inflantami. Ostatni mistrz Kawalerów Mieczowych Gothard Kettler, nie widząc innego ratunku, poddał się Polsce w roku 1561. W nagrodę za to obdarzył go król polski Zygmunt August księstwem Kurlandii, obejmującym dzisiejszą nadmorską zachodnią część Łotwy. Reszta Inflant została włączona do Polski. Kurlandia również pośrednio należała do Polski, gdyż książę kurlandzki musiał składać hołd królowi polskiemu, z którego ręki odbierał każdorazowo księstwo swe jako lenno.

Jeden z książąt kurlandzkich zapobiegliwy i dzielny Jakób Kettler (1642 — 1682) zyskał sobie niemały rozgłos na świecie i szeroką sławę, bo stał się twórcą rozległego handlu morskiego na północy, krtóy prowadził z bardzo nawet odległymi zamorskimi krajami, od Islandii na północy, aż po Gwineję w Afryce i Antylle w Ameryce środkowej, przywożąc płody obcych ziem i lądów do Polski, Kurlandii i wszystkich niemal portów europejskich i na odwrót zawożąc daleko produkty i towary rodzime, kurlandzkie i polskie. Ważne te przedsięwzięcia handlowe ułatwiały mu posiadane przez niego zamorskie kolonie.

Podczas gdy jego pani zwierzchnia, Polska, mająca wówczas 1500 kilometrów wybrzeża morskiego, nie troszczyła się zgoła o sprawy morskie, a cóż dopiero kolonialne — lennik jej Jakób Kettler, małe książątko kurlandzkie, porwany ogólnym wówczas pędem wszystkich państw zachodnio-europejskich do posiadania i powiększania swych kolonij, nabył od Holendrów dwie wyspy w Małych Antyllach — Tobago i wyspę św. Andrzeja, jako oparcie dla swych flotyl i faktorii handlowych w tych stronach. Później udało mu się usadowić jeszcze na wybrzeżu Gwinei w zachodniej Afryce, gdzie stworzył sobie małą kolonię Gambię. Ponieważ książę Jakób był lennikiem Polski, więc z punktu widzenia prawnego kolonie te, podobnie jak Kurlandia, były pośrednio podległe Polsce. Tak więc Polska weszła w pośrednie posiadanie zamorskich kolonij, sama sobie nie zdając wówczas z tego sprawy.

Z tych zamorskich kolonij księcia kurlandzkiego najpiękniejszą i najbardziej wartościową była „perła Małych Antyllów" przepiękna wyspa Tobago, nazywana dla swej bujnej roślinności tropikalnej i rajskiego klimatu — „rajem na ziemi". Jej to nazwa Tobago, względnie Tabago została przyjęta we wszystkich niemal językach europejskich na oznaczenie rośliny zwanej u nas tytoniem, a wszędzie indziej „tabakiem" z hiszpańskiego „tabaco". Na wyspie Tobago umieścił też pisarz angielski Daniel Defoe swego głośnego bohatera powieści Robinzona Kruzoe, choć rzeczywisty przebywał na wyspie Juan Fernandez na Pacyfiku.

Tak więc dzięki zapobiegliwości lennika Polski księcia kurlandzkiego byłaby Polska bezmała i łatwym sposobem weszła w posiadanie zamorskich kolonij, gdyby w narodzie polskim było potrzebne po temu zrozumienie dla ważności spraw morskich i kolonialnych. Niestety, jak się zdaje, Polska ówczesna może nawet nie wiedziała o tym, że ma pośrednio w swej władzy kolonie. Mała Kurlandia pozbawiona zupełnie poparcia i pomocy ze strony swej zwierzchniczki Polski po kilku latach została wyparta z tych dalekich swych wysp i posiadłości przez zaborczych Holendrów, których z kolei wyparli stamtąd Anglicy, dzisiejsi panowie tych niegdyś kurlandzkich posiadłości. Napróżno starała się Kurlandia w następnych latach o odzyskanie bodaj wyspy Tobago. Zabiegi władców kurlandzkich, nie poparte przez Polskę, spełzły na niczym, a wyspa Tobago miała się stać odtąd dla Kurlandii tym, czym dla Polski były w XVI, XVII i XVIII wieku słynne „sumy neapolitańskie", a więc przedmiotem ciągłych, lecz bezskutecznych zabiegów i starań.

W tym czasie, gdy książę Jakób Kurlandzki kładł podwaliny pod państwo kolonialne — Polak rodowity, Krzysztof Arciszewski wyrąbywał orężem posiadłości kolonialne dla Holendrów w Brazylii. Niestety, nie mógł tego robić dla własnej ojczyzny wobec zupełnego braku zainteresowania u swych rodaków dla spraw kolonialnych.

Dla podtrzymania francuskiej władzy kolonialnej w Wielkich Antyllach zginęło w walce z murzynami i żółtą febrą na San Domingo w latach 1802 — 1803 prawie 7 tysięcy legionistów polskich Dąbrowskiego.

Tak to Polacy musieli innym państwom się wysługiwać i ginąć dla ich spraw kolonialnych, gdy nie chcieli wcześniej myśleć o sobie i swych sprawach, budować własnego imperium kolonialnego wtedy, gdy był czas i pora po temu. Jeśli słaba lenniczka Polski, maleńka Kurlandia, mogła w XVII wieku stworzyć przejściowo własny dość duży obszar kolonialny, to czegoby mogła dopiero dokazać w tej dziedzinie ówczesna Polska, będąca jednym z największych wówczas i najpotężniejszych państw Europy.

Wielka Emigracja polska po powstaniu listopadowym dała pochop do poważniejszego zajęcia się sprawami kolonialnymi. W okresie czasu po roku 1831 zaroiło się od rozlicznych projektów kolonizacyjnych. Wyłoniły się też poważniejsze projekty utworzenia własnych polskich kolonij, gdzieby emigranci polscy mogli stworzyć sobie drugą ojczyznę, ot taką emigracyjną Polskę. Z rozlicznych tych projektów zasługuje na szczególniejszą uwagę projekt Piotra Aleksandra Wereszczyńskiego z roku 1871 utworzenia Nowej Polski Niepodległej na wyspie Nowej Gwinei. Wereszczyński, Polak z Inflant, podpisujący się pseudonimem „Korczak", rozmyślając nad dziejami swego narodu i nad nieszczęsnym losem tysięcznych rzesz emigrantów polskich, nie mogących

wrócić do kraju, pod wpływem przeczytanej w prasie zagranicznej w r. 1870 wiadomości o niezajętych jeszcze przez żadne państwo niektórych wyspach na oceanie Spokojnym powziął myśl „ocalenia od ostatecznej zagłady imienia polskiego przez założenie na jednej z owych wysp Nowej Polski Niepodległej drogą pokoju bez powstań i krwi rozlewu”. Podłożem, na którym zrodził się wspomniany projekt w umyśle Wereszczyńskiego była niestety — rezygnacja popowstaniowa — zwątpienie w możność odzyskania niepodległości dawnej Rzeczypospolitej, przekonanie, że naród polski zdany jest na zagładę. Chciał więc Wereszczyński stworzyć nową wolną Polskę, gdziekolwiekby się to dało przeprowadzić, „a gdyby — jak pisał — kiedykolwiek jakimś cudem i w jakichbądź granicach miała być Polska w Europie wskrzeszona, to i w takim razie proponująca się tu Polonia byłaby dla owej Polski niezmiernie pożyteczną, jako że kolonie nieobliczalne pożytki swoim metropoliom przynoszą”.

Projekt Wereszczyńskiego skolonizowania przez Polaków, zamieszkanej przez dzikich Papuasów, wyspy Nowej Gwinei został źle przyjęty przez księcia Władysława Czartoryskiego i większość emigrantów. Niezrażony tym Wereszczyński aż do swej śmierci w r. 1879 walczył o zrealizowanie swej idei. W roku 1875 wydał książkę p. t. „Mała Polska na Oceanii”, wykładnik jego myśli kolonizatorskich. Umierając zapisał na zrealizowanie tej pierwszej zamorskiej kolonii polskiej, względnie na stworzenie kolonii polskiej w ogóle — 10 tysięcy rubli w gotówce i bibliotekę wartości 37.000 — 40.000 franków.

Myśl Wereszczyńskiego wcielić chciał w życie głośny marynarz, podróżnik i pionier kolonialny polski, Stefan Szolc-Rogoziński, syn przemysłowca tkackiego, urodzony w Kaliszu w roku 1860 miał możność poznania szerokiego świata jako marynarz w służbie rosyjskiej. Wędrówki po bezmiarach oceanów podnieciły eksploratorską gorączkę Rogozińskiego, a podróże u brzegów Afryki natchnęły go nieprzepartym dążeniem zbadania nieznanych obszarów Kamerunu. Już w połowie 1881 roku, pisząc z podróży z Aten do kraju napomykał o zamiarze zbadania gór Kamerunu i ich zaplecza. Włosi chcieli udzielić mu w tym poparcia. Odrzucił je, gdyż chciał, by to była wyprawa polska. Zwolniwszy się z marynarki rosyjskiej rozpoczął kampanię w kraju za swoją wyprawą i w listopadzie 1881 roku ogłosił w „Wędrowcu” plan tej wyprawy. Około wyprawy afrykańskiej Rogozińskiego zrobił się ruch w kraju. Czynił go sam Rogoziński, tłumacząc, wykładając, perswadując, wygłaszając odczyty. Ruch się zrobił i w prasie. Przeciwko wyprawie tej występował ostro Świętochowski, jednak Rogozińskiego poparł niebyle kto, bo sam Sienkiewicz i Bolesław Prus (Głowacki). Pierwsi z pomocą materialną pośpieszyli Ksawery Branicki i Benedykt Tyszkiewicz, w ślad za tym posypały się dalsze ofiary. Półtora roku upłynęło jednak od powzięcia zamiaru do chwili wyruszenia ekspedycji polskiego z francuskiego portu Le Havre, półtora roku przygotowań, zawodów, niepowodzeń materialnych i moralnych, waśni, a nawet potwarzy i intryg. Wreszcie jednak żelazna energia Rogozińskiego przemogła wszelkie trudności i 13 grudnia 1882 roku wypłynął na morze z Havru nabyty przez niego okręt „Łucja — Małgorzata”, wiozący prócz Rogozińskiego i załogi francuskiej czterech jeszcze uczestników Polaków: Leopolda Janikowskiego, Klemensa Tomczka, Hirschenfelda i Barańskiego. Z tych tylko Janikowski i Tomczek wytrwali do końca. Trzy lata przebył Rogoziński w dziewiczych puszczach gór Kameruńskich, sekundowany dzielnie przez Janikowskiego i Tomczka, który niestety już w roku 1884 zmarł na posterunku na wyspie Mondoleh.

Rogoziński, człowiek ognistego temperamentu, obdarzony niepospolitą inteligencją i wyjątkowo silną organizacją fizyczną, zdziałał jak na warunki, w których ekspedycja doszła do skutku i działała, istotnie niemało dla nauki i chluby imienia polskiego.

W kwietniu 1883 roku zawinął statek polski Rogozińskiego z flagą warszawskiej Syreny na głównym maszcie do brzegów Kamerunu do zatoki Biafryjskiej, będącej częścią zatoki Gwinejskiej. Tu, stanąwszy na wyspie Mondoleh, nabyła wyprawa polska od miejscowego kacyka murzyńskiego teren, na którym zbudowano stację morską, będącą równocześnie schroniskiem i magazynem załogi. Stąd członkowie ekspedycji urządzali wyprawy w głąb Kamerunu, przy czym zbadali kraje Bakundu, nietknięte wówczas jeszcze stopą Europejczyka, odkryli jezioro Słoniowe, zbadali język i obyczaje plemion Bakwiri, zamieszkujących stoki gór Kameruńskich. Bogate kolekcje etnograficzne, antropologiczne i przyrodnicze, znajdujące się dziś w muzeach polskich, to jedna zdobycz wyprawy Rogozińskiego.

Ale nie o to szło przecież Rogozińskiemu. Jego ideą przewodnią w tym przedsięwzięciu była Polska niepodległa, odkrycie i zdobycie szmatu ziemi afrykańskiej pod własną niezawisłą kolonię polską. Do tego zmierzał Rogoziński przez układy z kacykami murzyńskimi i doprowadził do tego, że ci złożyli rządy nad swymi szczepami w jego ręce. Tak więc Rogoziński stał się, podobnie jak swego czasu Beniowski, królem murzyńskim, którego rozkazów słuchali kacykowie murzyńscy i ich poddani w znacznej części kraju kameruńskiego.

W tym właśnie czasie Niemcy, mając od czasów Bismarcka potężną flotę, a ani skrawka kolonij, zaczęli oglądać się na wsze strony za jakąś możliwą do zagrabienia kolonią. Sława wyprawy Rogozińskiego do Kamerunu i jego pomyślne transakcje z tamtejszymi kacykami, zwróciły uwagę Niemców na Kamerun. Wprawdzie byli tam już Polacy Rogozińskiego, ale ponieważ Polska, jako państwo nie istniała i nie mogła im udzielić pomocy, więc Niemcy uważali, że łatwo będzie Polaków stamtąd wyprzeć.

Od połowy 1883 roku Niemcy najbezprawniej w świecie okupując rzekę Kamerun i jej dorzecze, zaczęli się posuwać na zachód ku bogatym skłonom gór kameruńskich, stanowiących najlepszy teren Kamerunu. Zapędy niemieckie krzyżowały plany ekspedycji polskiej, były dla niej niepożądane i niebezpieczne. Rogoziński bowiem w tym czasie zdołał poddać swej władzy głównego kacyka z Boty, nabył na własność ziemie szczepów murzyskich i w ten sposób bezpańsstwowa Polska wzięła w posiadanie ziemię i objęła rządy nad częścią kraju kameruńskiego.

Ostatecznie jednak Rogoziński i Janikowski wobec bezwzględnego parcia Niemców na zachód, widząc beznadziejność oporu bagnetom niemieckim i działom kanonierek niemieckich, oddali swój kraj pod opiekę Wielkiej Brytanii, w tej nadziei, że Anglia ochroni ich przed Niemcami. Ponadto dnia 28 sierpnia 1884 roku podpisany został traktat między rządem Wielkiej Brytanii i Rogozińskim z jednej, a królem i kacykami z drugiej strony, na mocy którego kacykowie, zachęceni przez Rogozińskiego i Janikowskiego, oddali swoje kraje pod protektorat angielski.

Niestety Anglia, zajęta wówczas wojną w Egipcie i Sudanie z niedołęstwem, niespotykanym zazwyczaj u Anglików, dopuściła do usadowienia się Niemców w Kamerunie, oddając im także tereny należące do Polaków, będące pod jej protektoratem.

W ten sposób Niemcy wykorzystali odkrycia Rogozińskiego, Tomczka i Janikowskiego i zajęli Kamerun odkryty przecież przez nich nie dla Niemiec, ale dla Polski.

W posiadaniu Niemców był on aż do wojny światowej. Mandat nad nim uzyskała teraz zwycięska Francja. A przecież większe prawa przynajmniej do części Kamerunu, odkrytej i zajętej przez Rogozińskiego ma Polska, której zresztą zachodnie ziemie, należące przed wojną do Prus, łożyły i

tak duże sumy wraz z innymi ziemiami niemieckimi na rozwój i rozbudowę kolonij niemieckich, a węc i Kamerunu. Czas by więc było dopuścić i Polskę do posiadania własnych kolonij!

Ekspedycja Rogozińskiego była jedyną polską wyprawą, którą wiodła myśl państwowa polska. W tym tkwi jej ważność. W chwili, gdy Polacy pozbawieni byli morza, państwa i rządu własnego, on rzucił się — by mimo to wszystko zdobyć własną kolonię dla Polski. Dziś w odrodzonej ojczyźnie, mającej lepsze zadatki w tym kierunku, musi powstać pokolenie pionierów kolonialnych, takich jak Rogoziński.

Głęboka mądrość

W chaos splątanych doktryn politycznych, w spekulatywne dociekania zawodowych teoretyków partyjnych, w namiętne i ślepe samouwielbienie programów i programików, w sofistyczne mędrkowanie cynicznych politykierów, mających gotowe „uniwersalne" recepty na wszelkie dolegliwości życia państwowego, społecznego i gospodarczego padły słowa pełne prostoty i pełne głębokiej mądrości. Słowa wyrzeczone przez Marszałka Śmigłego-Rydza do członków Koła Parlamentarnego Obozu Zjednoczenia Narodowego, ale skierowane do całego Narodu. Z niezwykłą wyrazistością, w kilku lapidarnych zdaniach, oświetlił Marszałek Śmigły-Rydz nicość „uniwersalnych" recept i wskazał to, co łączy nas wszystkich, WSKAZAŁ CELE REALNE I OSIĄGALNE, do których należy dążyć, dał odpowiedź na najczęściej cisnące się na usta pytanie — „Co?".

„Po pierwsze — mówił Marszałek Śmigły-Rydz — każdy człowiek aby żyć, musi jeść, musi odziać się, musi mieć dach nad głową i musi od czasu do czasu przynajmniej, mieć choćby jakiś lekki posmak powszedniego zadowolenia życiowego; po drugie: każdy rozsądny człowiek musi uznać, że ponad tymi codziennymi potrzebami są potrzeby n a d r z ę d n e, cele wielkie zbiorowości ludzkiej, żyjącej w Państwie — czyli to, co się wiąże z przeznaczeniem, z losem i bytem Narodu".

Na drugie, nie mniej częste pytanie — „Jak?" — dał Wódz Naczelny równie prostą i wyraźną odpowiedź:

„Musi każdy uznać, że te pierwsze potrzeby codzienne dnia powszedniego i te drugie — wielkie — można zdobyć tylko zgodnym, zjednoczonym, skoordynowanym rozumnie i nieugięcie kierowanym wysiłkiem wszystkich. A więc jedna jest droga i wtedy, kiedy chodzi o kawałek chleba powszedniego, i wtedy, kiedy chodzi o wykucie piorunów, które mają strzec wielkości i majestatu Rzeczypospolitej".

Czyż można krócej i dobitniej, bardziej przejrzyście i wyczerpująco ująć program „dnia powszedniego" niż to uczynił Marszałek Śmigły-Rydz? W jednym zdaniu zostały określone cele polityki społecznej i gospodarczej, będące zarazem stwierdzeniem, jak daleko jesteśmy jeszcze od realizacji tych celów, jakiego musimy dokonać wysiłku, aby zapewnić wszystkim chleb i dach nad głową. Toć to zagadnienie naprawy ustroju rolnego, rozbudowy miast i przemysłu dla wchłonięcia nadmiaru ludności wiejskiej, to sprawa podjęcia na wielką skalę budownictwa mieszkań społecznie najpotrzebniejszych, to wreszcie zagadnienie powszechności oświaty ,zapewnienie zdrowotności publicznej, podniesienie poziomu kulturalnego ludności wiejskiej i miejskiej.

Realizacja celów n a d r z ę d n y c h jest ściśle związana z realizacją celów „dnia powszedniego". Łączą się i zazębiają tak dalece, że trudno jest je ściśle rozgraniczyć. Przecież rozwój przemysłu dla dania zatrudnienia nadmiarowi ludności wiejskiej to równoczesne podniesienie potencjału obronnego Państwa, przecież troska o dobrobyt, zdrowie i poziom kulturalny najszerszych sfer, to jednocześnie troska o miliony przyszłych obrońców granic, o żywy pancerz Rzeczypospolitej. Realizacja tych celów wymaga wielkich wysiłków, ale wysiłków skoordynowanych i dlatego zespolenie całego Narodu, którego byliśmy świadkami w dn. 16—20 marca, zespolenie dla celu nadrzędnego — tak spontaniczne i gwałtowne, że najbardziej zacietrzewieni partyjnicy nie ośmielili się do dywersji — musi stać się chlebem powszednim. Musi być realizowane stale, niezmiennie i uparcie w każdym dniu i każdej chwili.

W dniach obecnych żaden naród nie stać na rozpraszanie wysiłków, na marnowanie sił i cennego czasu w tarciach wewnętrznych, nie stać szczególnie nas, którzy mamy tak wiele do odrobienia na każdym polu. Muszą zniknąć ostatecznie wszystkie sztuczne mury, płoty i druty kolczaste, dzielące Naród Polski na grupy i grupki. Musi nastąpić zjednoczenie, gdyż tylko dzięki niemu z obecnego okresu historii Polska może wyjść pomnożona w potędze i wielkości.



Marszałek Śmigły-Rydz wygłaszający przemówienie do posłów i senatorów O. Z. N.

JÓZEF PIŁSUDSKI MÓWI:

W wielkim chaosie i rozprężeniu, które ogarnęło po wojnie całą środkową i wschodnią Europę, chciałem właśnie z Polski uczynić ośrodek kultury, w którym rządzi i obowiązuje prawo.

KREW KWIATOWA

Z niemieckiego przyswoił Stanisław Wałęga.

II.

Niesamowita przygoda w dżungli Brazylijskiej

W tym „Szczycie wszystkiego złego" czekał już na nas zwykle trzeci przedstawiciel naszej firmy Sam Henley, typowy Jankes o kościstym obliczu i sępim nosie — prawdziwy Wuj-Sam. Ten „byznesmen" wybrał sobie najlepszą cząstkę w całym tym naszym interesie. Jak tylko powracaliśmy do „Remate" z wyprawy w dżunglę śmiertelnie znużeni i chorzy, o wyglądzie dobrze spreparowanych szkieletów, zaraz mister Sam odbierał od nas owoc naszej wyprawy — cebulki różnych rzadkich gatunków orchidei, wraz z tym cennym bagażem jechał najspokojniej parowcem rzecznym ku morzu, tam w jednym z portów zamawiał sobie luksusową kabinę na którymś z okrętów, odpływających do Anglii. Z miną udzielnego księcia przemierzał na okręcie Atlantyk, płynąc wraz ze zdobytymi przez nas w dżungli cebulkami orchidei do Londynu. Tam w Starej Anglii, a także w Amsterdamie, zajmowała się już zatrudniająca nas firma zyskownym procederem rozsprzedawania naszej zdobyczy pomiędzy europejskich miłośników tych pięknych, egzotycznych kwiatów. A zdarzało się przy tym nieraz, że dostarczyliśmy kwiat orchidei, za który siaki taki angielski lord czy też holenderski mynheer ofiarowywał gładko, jakby nigdy nic, tysiąc funtów szterlingów. Tysiąc funtów szterlingów za jeden kwiat orchidei. Największa część zysków ze sprzedaży naszej zdobyczy szła naturalnie do kieszeni naszych europejskich pryncypałów, a ta skromna reszta jaka się nam dostawała w udziale spływała w formie wódki „cachassa" poprzez gardła naszych przyjaciół w „Remate" wspomnianych już wielokrotnie grających w karty poszukiwaczy gumy i ciągnących wódkę jak smoki senorit, brzdąkających „senne" fandanga na swych gitarach.



W bagnistych łachach dżungli amazońskiej w poszukiwaniu orchidei.

Ale to wszystko, co ja tu opowiadam, winno wam tylko nieco światła rzucić na sposób życia tych rzadkich okazów ludzi, którzy noszą przemiły i romantycznie brzmiący tytuł **„poszukiwaczy orchidei"**.

Teraz chcę wam z kolei opowiedzieć o niezwykłej naszej przygodzie, którą mieliśmy w czasie poszukiwań naszych za nowymi jeszcze nieznanymi gatunkami orchidei. Brak mi słów, by wam opisać jak cudownie piękne i wspaniałe były kwiaty tego ogromnego nieznanego dotąd wszystkim botanikom, gatunku orchidei, jaki udało się nam odkryc, po to, by go znowu stracić bezpowrotnie. Za sam widok tych kwiatów — **przyszło nam zapłacić krwią.** Widzieliśmy i mieliśmy w rękach podczas naszych wędrówek wiele najpiękniejszych orchidei świata, jakich nie widziało oko zwykłego śmiertelnika. Kwiaty jednak tego gatunku orchidei były tak czarująco piękne, że doktor Hendersen, jako botanik bardziej ode mnie wrażliwy na cuda przyrody, padł przed nimi na kolana jak przed jakimś bóstwem i zaczął poetyzować. Wyśpiewał wówczas cały poemat na ich cześć — nie wiedząc, że będzie to jego pieśń łabędzia.

Ale do rzeczy — zacznijmy rzecz od początku, kolejno, tak jak się rozegrał ten niesamowity dramat. A było to tak: Właśnie powróciliśmy z dżungli do „Remate de males" z uzbieranymi w puszczy cebulkami orchidei. Sam Henley, jak zwykle, czekał na nas, odebrał nasze cebulki i w sam raz jeszcze zdążył wsiąść z nimi na odpływający w dół rzeki parowiec. Pozostaliśmy więc z Hendersenem sami w „Remate" i kurowaliśmy się z febry, pijąc przede wszystkim ogromne ilości wódki „cachassa" z chininą, aby oczy nasze straciły wstrętny blask febry. Febra dawała się nam dobrze we znaki. Gorączka biła z nas, a ręce w pierwszych dniach po przybyciu do wsi drżały nam tak fatalnie, gdy nieśliśmy szklanki do ust, że rozlewaliśmy połowę ich zawartości, stając się pośmiewiskiem brunatnych metysów i kabokli oraz ich czarnookich dziewcząt.

No, ale w końcu pobyt w „Remate" postawił nas znowu na nogi, tak, że zaczęliśmy się czuć jako tako. I trzeba trafu, że właśnie wtedy diabli nadali tego starego szatana Indianina. Zjawił się on nagle we wsi, jakby wyrósł z pod ziemi. Nikt go nigdy tu przed tym nie widział. Nie wiedziano skąd przybył. Nie można było się tego od niego dowiedzieć, gdyż nikt nie rozumiał jego mowy.

Ale doktór Hendersen przyczepił się zaraz do niego, myśląc, że ów musi być, jak na to wskazywało jego niezrozumiałe narzecze, gdzieś z dalekich, nieznanych jeszcze białym ostępów i dżungli brazylijskich i żę może będzie wskutek tego w stanie dać nam jakieś wskazówki co do nowych nieznanych gatunków orchidei. — Z ostatnią bowiem pocztą przyszedł list z Londynu, w którym nasi, bezpiecznie sobie w Europie żyjący, pryncypałowie wyrażali swe niezadowolenie, że od dłuższego już czasu nie dostarczyliśmy im żadnej nowej, rzadkiej **„krwi kwiatowej"** — jak zwykli fachowcy określali kwiaty egzotyczne.

Mnie nie podobał się bardzo ten brunatny drab, ale nie mogłem się sprzeciwiać, bo Hendersen był kierownikiem naszych ekspedycji. A tymczasem Hendersen dostał prawdziwego bzika na punkcie tego starego indyjskiego czorta. I stało się to, czego się obawiałem, że pewnego dnia ruszyliśmy ze starym Indio w dżunglę, by przedrzeć się ku jego stronom rodzinnym. Dziewczęta z „Remate de males", huśtające się w swych hamakach nad brudnymi wodami rzeki, powiewały ku nam na pożegnanie pstrymi jedwabnymi chustkami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Los wsi w jej własnych jest rękach

Palące zagadnienia wsi polskiej wchodzą w fazę daleko idących rozstrzygnięć. Słowa, które padły z najwyższego w Rzeczypospolitej stanowiska, przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, wygłoszone w dniu Imienin Marszałka Piłsudskiego, postawiły sprawę wsi w rzędzie najbardziej kapitalnych zagadnień państwowych — obok obronności.

„Obecnie — powiedział Pan Prezydent Ignacy Mościcki — w pierwszej linii, obok pracy obronności, zajęła wreszcie miejsce praca w dziedzinie gospodarczej, a to dzięki zrozumieniu, że dobry stan gospodarczy kraju stanowi dopiero właściwy fundament, na którym można wznosić budowle kultury i organizacji państwowej. Praca w dziedzinie gospodarczej jest sprawą najpilniejszą szczególnie tam, gdzie chodzi o wieś. Bowiem stan materialny naszej wsi jest w wielu województwach niepomyślny, tak, że często znajduje się poniżej tego poziomu, który pozwala na realizację nader ważnych zadań innej natury. Do tego przyczynia się nie tylko niski poziom gospodarki, ale i wielkie przeludnienie wsi polskiej".

Dalej Pan Prezydent stwierdził, że zagadnienie wsi polskiej nie może być fragmentem jakiegoś przejściowego programu, ale w harmonii i z ogólno-gospodarczą poprawą musi przyciągać coraz baczniejszą uwagę rządów w Polsce.

Wród ogromu oczekujących zadań są takie, które muszą być dopełnione bezpośrednio przez Rząd. Tu należy wykonanie ustawy o reformie rolnej, scalenie gruntów, melioracja i t. p.

„Poza tym pozostaje jeszcze dużo, bardzo dużo zadań, które wykonać musi samo społeczeństwo...".

Włodarz Rzeczypospolitej, mówiąc o sprawach wsi wezwał społeczeństwo do wykonania realnych, konkretnych zadań.

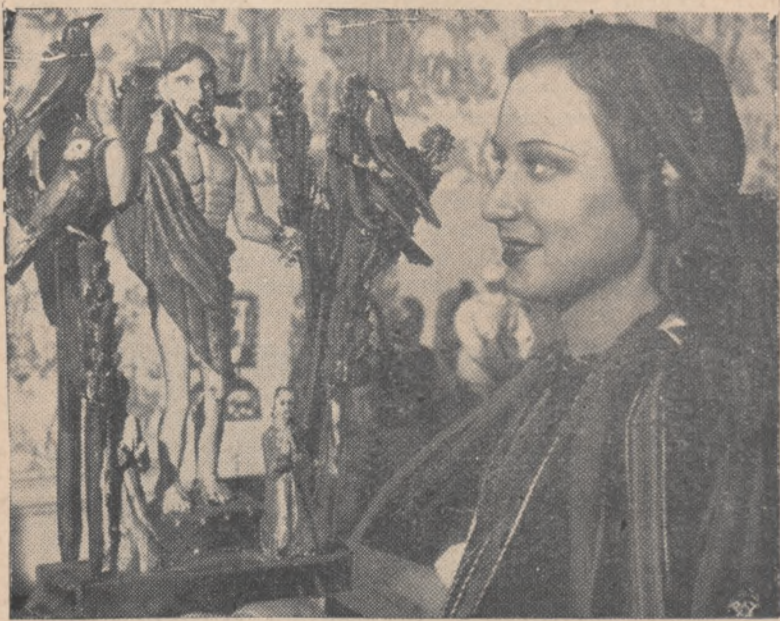
Musimy sobie uświadomić, jakie to zadania leżą przed nami. Musimy widzieć je w sposób bliski, bezpośredni, żeby móc realizować. Jakże często słyszymy na wsi narzekania, że nic się nie robi, albo zbyt mało się robi, dla tworzenia lepszej przyszłości podstawowej, warstwy społeczeństwa polskiego, jaką jest ludność wiejska. Jakże często miejsce celowego działania zajmuje bezpłodna demagogia i gadulstwo wiecowe polegające na wysuwaniu pociągających i radykalnych haseł oraz licytowanie się na coraz dalej idące żądania, które nie wiadomo kto ma wypełnić! Tymczasem zapominamy, że pomóc można tylko temu, kto sobie sam pomóc potrafi. Innymi słowy — najbardziej wytężona akcja rządu nie osiągnie celu, o ile nie spotka się z czynną postawą samej ludności wiejskiej.

Bo kapitalnym zagadnieniem wsi jest jej przeludnienie.

Wykonanie reformy rolnej zaledwie w drobnym ułamku przyczyni się do polepszenia sytuacji. Drogi emigracyjne zamknęły się z przyczyn od nas niezależnych, zaś przemysł nie będzie rozwijać się w takim tempie, żeby mógł przyjąć cały nadmiar przyrostu ludności wiejskiej. Trzeba więc pomyśleć o tym, żeby wieś mogła pomieścić i zapewnić dobrobyt większej niż dotychczas ilości ludzi, żeby hektar gruntu zatrudniał więcej rąk roboczych i dawał więcej chleba. Droga do tego celu prowadzi po przez podniesienie umiejętności zawodowej rolników, po przez szeroko pojęte przysposobienie rolnicze ludności wiejskiej. Akcja ta musi znaleźć oparcie na kadrach rolników zorganizowanych, świadomych możliwości, jakie leżą w zespoleniu wysiłków i woli zbiorowej. Dziewięćdziesiąt tysięcy młodzieży wiejskiej pracującej w 11 tysiącach zorganizowanych grupach - zespołach, świadczy o zrozumieniu znaczenia akcji przysposobienia rolniczego wśród młodego pokolenia wsi, ale to zaledwie kropla w morzu w porównaniu do potrzeb.

Przysposobienie rolnicze jest jednym z kierunków działalności zmierzającej do podniesienia poziomu gospodarczego i kulturalnego wsi. Rozliczne, wielokierunkowe działania zbiorowe wsi wymagają jednolitego planu organizacyjnego. Plan ten może być wytworzony na płaszczyźnie szeroko i realnie pojętego Zjednoczenia Narodowego w ramach konkretnych prac społecznych dnia codziennego. Podajmy więc sobie dłonie do pracy na własnym podwórku, w opłotkach własnej wsi, gromady, gminy, zespoleniu twórczych wysiłków i wiedzmy, że nasz los w naszych jest rękach.

WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI LUDOWEJ W PARYŻU



W Paryżu została otwarta pod protektoratem ambasadora R. P. Łukasiewicza, zorganizowana przez Towarzystwo Przyjaciół Polski, wystawa polskiej sztuki ludowej. Reprodukujemy fragment z wystawy. Na zdjęciu: łowiczanka przed polskimi ludowymi rzeźbami religijnymi, t. zw. „świątkami".

Ciekawostki

PREZYDENT LAZARO CARDENAS

Z pochodzenia metys, syn Indianki i białego, prezydent Meksyku Lazaro Cardenas zwraca na siebie obecnie oczy całego świata. Ekspropriował bowiem dla Meksyku tereny naftowe, wypuszczone w dzierżawę kapitalistom cudzoziemskim. Wiemy już, że Stany Zjednoczone, tytułem represyj, przestały kupować srebro meksykańskie.

Cardenas z profesji jest zecerem. Mając lat 16, rzucił pracę i stał się rewolucjonistą. Prezydentem obrano go w r. 1934 na sześć lat.

Ekspropriacje nie są pierwszyzną dla Cardenasa. Już zabrał ziemię właścicielom i zapłacił im nic nie wartymi bonami państwowymi. Skonfiskował majątki kościelne i klasztorne. Wprowadził oficjalne bezbożnictwo. Rządzi samowładnie, w razie potrzeby powołując się na parlament, gdzie zasiadają tylko narodowi rewolucjoniści.

Sam jest usposobienia ponurego i ponurość wprowadził do kraju. Zamknął kabarety i teatrzyki. Jak większość metysów, nie pali i nie pije. Pieniądze potrzebne mu są do przeprowadzenia zamierzonych reform.

Wystąpienie przeciw koncesjonariuszom zagranicznym jest rodzajem międzynarodowego szantażu. Cardenas od dawna starał się o pożyczkę w Stanach, bez rezultatu. Jeżeli ją teraz otrzyma, prawdopodobnie przywróci koncesjonariuszom ich prawa.

MGR K. DĄBROWSKI

Zwyczaje wielkanocne na Kaszubach

Rozkołysane dzwony kościelne zwiastują cichym wioskom i miasteczkom kaszubskim wesołą nowinę Zmartwychwstania Pańskiego. Radosnym tym dźwiękcm towarzyszy rozśpiewana, do życia powracająca natura.

Wielkanoc poprzedzona jest bogatą skarbnicą obrzędów liturgicznych, jakie obserwujemy w kościele podczas Wielkiego Tygodnia. Owe ceremonie znajdują również oddźwięk w zwyczajach ludowych, związanych z uroczystościami kościelnymi. Lud kaszubski pielęgnuje pilnie przekazane przez przodków tradycje, stanowiące niby pomost między dawnymi a obecnymi czasy.

Okres Wielkanocy rozpoczyna się na Kaszubach niedzielą kwietną. Lud zanosi do kościoła gałązki wierzbowe, nazywane powszechnie „palmami", aby je ksiądz poświęcił. Do poświęconych palm przywiązuje się wielkie znaczenie. Nie ma prawie chatki na Kaszubach, w której by nie znalazło się palm, gdyż brak ich byłby czymś strasznym, wróżącym jak najgorsze rzeczy. Ludzie wierzą, iż gałązki wierzbowe posiadają jakąś dziwną, tajemniczą moc. Oto widzą w nich środek dla zażegnania wszelkiego rodzaju nieszczęść, czy to będą choroby lub posuchy, nieurodzaje na polu i niepowodzenia na inwentarzu domowym.

Szczególnie przy gospodarstwie palmy są zapowiedzią szczęścia i pomyślności. Rolnicy przed żniwami kładą je w formie krzyża na środku stodoły, przykrywając następnie snopami, aby czasem piorun nie uderzył w stodołę i nie zapalił całych zbiorów. W niektórych okolicach nadmorskich zatykają gałązki w polu, celem ochrony zboża. Na wypadek chorób podaje się także palmy do strawy zwierzętom domowym, które rychło po spożyciu odzyskują zdrowie.

Rybacy znowu przywiązują gałązki do powrozów od sieci, by czarownice nie przyniosły nieszczęścia przy łowieniu ryb.

Spośród innych dni Wielkiego Tygodnia trzeba wspomnieć Wielki Czwartek, kiedy to sadzi się młode drzewka. Drzewa w tym dniu zasadzone przyniosą obfity plon. Dawniej jeszcze istniał zwyczaj pasterski, zwłaszcza na samym wybrzeżu. Opowiadają, że w Chłapowie, jak zresztą wszędzie, był wspólny pastuch, który pasał bydło z całej wioski. Jako znak swego urzędu nosił długą trąbę, zwaną bazuną. Aby trąba posiadała donioślejszy głos, pasterz zanurzył ją do wody i obchodził wszystkich gospodarzy, trąbiąc w takt melodii od słów „Gęsi ud, miał czy brot". Kobiety wiejskie, znając dobrze głos trąby pasterskiej, nie skąpiły pastuchowi chleba ni mięsiwa.

Przed Wielkanocą, gdy przestają bić dzwony kościelne, wzywa się wiernych na modlitwy za pomocą kołatek. Przed każdym nabożeństwem chłopcy, których liczba dochodzi do 10-ciu „piekutują", to jest obchodzą wieś, klekocąc kołatkami. W Wielką Sobotę życzą wszystkim „wesołego Alleluja" otrzymując za to jajka albo ciastka.

W dniu tym, już ostatnim Wielkiego Postu, święci się w kościele wodę. Powszechną jest wiara, przypisująca magiczną moc wodzie. Około północy dziewczyny udawały się do źródeł lub jezior, by obmyć twarz, pokrytą piegami lub wyrzutami. Celem doznania skutków leczniczych wody trzeba było przy samej czynności zachowywać się spokojnie i bez oglądania się, bo inaczej zamiast polepszenia należało się spodziewać pogorszenia.

W Wielką Sobotę woda także zamienia się w wino. W niektórych okolicach czerpanie wody oznacza wyjście zamąż. I tak, jeśli panna nabierze wody zaraz po północy, wyjdzie wnet zamąż, natomiast nabieranie wody przed wschodem słońca oznacza, że będzie musiała jeszcze długo czekać, a kto wie, czy nawet nie zostanie starą panną.

W niedzielę wielkanocną po rezurekcji, w czasie której rozlegają się już dzwony, znajomi życzą sobie „wesołych świąt". Pierwsze święto przechodzi na ogół spokojnie, bo każdy przebywa w domu w gronie rodziny. Na święconkę nie kładzie się na Kaszubach wielkiego nacisku. Zwyczaj ten, rdzennie polski, znamionujący wielką gościnność naszych przodków, jest mało tu rozpowszechniony. Jednak z każdym rokiem święconkę urządzają w domach zamożniejszych, zapraszając na ucztę swego miejscowego proboszcza. Nie oznacza to bynajmniej, że Kaszubi są niegościnni. Owszem tej cechy ogólno-słowiańskiej im nie brak. Zwykle jednak Kaszubi proszą na święta swych znajomych i krewnych, darząc ich pieczywem i ciastkami, specjalnie przygotowanymi, bo w każdym domu spodziewają się gości. Może więc ten obrzęd zastępuje gdzieindziej znaną święconkę.

Ze świętami wielkanocnymi związany jest zwyczaj malowania jajek ulubionymi kolorami czerwonym i niebieskim. Zwyczaj to jest bardzo dawny, rozpowszechniony wszędzie. W każdej checzy kaszubskiej, a chociażby ona była najuboższa, dzieci malują jajka za pomocą papieru koloru czerwonego lub niebieskiego. Malują też niekiedy motywy kaszubskie.

O ile pierwszy dzień świąt wielkanocnych ludzie spędzają w domu, o tyle drugie święto wypełnione jest różnymi zwyczajami. Najpowszechniejszy jest dyngus czyli po kaszubsku „deguse". Jednakże dyngus, jak czytamy u Kitowskiego, że „mężczyźni oblewają wodą kobiety, a we wtorek i następne dni kobiety mężczyzn", nie jest znany na Kaszubach. Odbywa on się najczęściej w ten sposób, że chłopcy rano zabierając ze sobą gałązki brzozowe, przyniesione jeszcze w poście lub jałowce, udają się do domów i tam smagają dziewczęta po nogach, otrzymując za to czasem nawet sowity okup w postaci jajek lub pieczywa. Niektórzy, zwłaszcza biedniejsi, biorą na ten cel kosz, gdzie kładą poczęstunki. Przy tej okazji nie zapomina się o składaniu życzeń świątecznych. W okolicach Kościerzyny chłopcy śpiewają:

Przyszliśmy tu po dyngusie,
Zaśpiewamy o Jezusie,
O Jezusie, co zmartwychwstał.
Alleluja — Alleluja.
Przyszedłem tu po dyngusie,
Leży placek na obrusie,
Tata kraje, mama daje,
Proszę o malowane jaje....

W czasie świąt odbywają się też obrzędy ściśle prywatne, noszące charakter familijnych uroczystości — są to zaręczyny względnie wesela. Zwykle w pierwsze święto mają miejsce swaty i konkury. Młodzieńcy, szczególnie na samym wybrzeżu, a więc rekrutujący się z wiosek rybackich, rano udają się do kościoła na rezurekcję, a potem gromadzą się w restauracji na wino. Stąd ci, którzy w czasie postu poznali swoją narzeczoną, zabierając ze sobą butelkę wina, wyruszają na oświadczyny do rodziców swej panny. Zaś po obiedzie młody pan przebywa w domu swej wybranej aż do północy.

Analogiczne zwyczaje wielkanocne spotykamy w innych okolicach Pomorza.

KRONIKA ORGANIZACYJNA

KOMUNIKAT OKR. URZĘDU P. W. i W. F.

W związku ze zbliżającym się XIII Marszem Sulejówek—Belweder, który odbędzie się zgodnie z Regulaminem dnia 15 maja 1938 r. proszę wprowadzić następujące zmiany w wymienionym Regulaminie. Przewidziane regulaminem zawody marszowe indywidualne w roku 1938 odwołuje się.

Jest	Winno być	str.	§§	wiersz	
				od góry	od dołu
1) drużyna	patrol	odnosi się do całego regulaminu			
2) drużynowy	dowódca patrolu				
3) drużyna składa się z 13 strzelców łącznie z drużynowym	patrol składa się z d-cy patrolu plus pięciu strzelców	11	10	17 i 18	
4) marsz musi ukończyć najmniej 10 zawodników z drużynowym	marsz musi ukończyć najmniej 5 zawodników łącznie z d-cą patrolu	11	11	—	5
5) lub czwórkowej	winno być skreślone	13	13	5	—
6) 20 metrów	winno być 10 metrów	13	13	8	—
7) opiekun drużyny	opiekun patrolu	odnosi się do całego regulaminu			
8) 60 sekund, drużyna strzela do obu sylwetek	60 sekund, patrol strzela do obu sylwetek	15	18	—	6
9) niewypały nie będą brane pod uwagę	niewypały będą brane pod uwagę	16	19	—	10
10) otrzymują po 360 punktów	otrzymują po 180 punktów	20	28	—	3
11) po 360 punktów	po 180 punktów	21	28	5	
12) dowód wpłacenia 20 zł	dowód wpłacenia 10 zł	23	31	6	
13) po nadesłaniu — do słowa: Okręgu I Z. S.	skreślić i wpisać: przejazd zawodników do Warszawy nastąpi na podstawie zaświadczeń przejazdowych 75%, które zostaną w odpowiednim czasie dostarczone zawodnikom.	25	35	16	

Związek Strzelecki

Z ŻYCIA ZWIĄZKU STRZELECKIEGO W LUBIENIU POW. WŁOCŁAWSKIEGO

Zarząd Oddziału gm. Z. S. w Lubieniu dbając o utrzymanie stałego kontaktu ze strzelcami, którzy czasowo urlopowani są z oddziału dla odbycia czynnej służby wojskowej, urządza corocznie uroczyste pożegnanie poborowych, rekrutujących się spośród szeregów strzeleckich.

W bieżącym turnusie wiosennym został powołany do zaszczytnej służby wojskowej strzelec II stop. pw. ob. Leon Jaskólski, któremu w przeddzień odejścia do wojska, t. j. dnia 23 ub. m. zgotowano tu serdeczne pożegnanie. Prezes ob. Dobrek w obecności całego Zarządu i wszystkich członków organizacji wręczył ob. Jaskólskiemu upominek strzelecki w postaci przyborów do golenia i mycia.

Następnie wszyscy obecni na zbiórce, chórem odśpiewali piosenkę żołnierską „Wojenko, wojenko...", żegnając w ten sposób, w bardzo serdecznym nastroju swego kolegę, który po odbyciu służby wojskowej zasili z powrotem szeregi organizacji, wykorzystując nabyte w Armii wiadomości do szkolenia swych kolegów.

KU CZCI MARSZAŁKA ŚMIGŁEGO-RYDZA

Z inicjatywy Związku Strzeleckiego w **Złotnikach Kujawskich** odbyła się w dniu 18 marca uroczysta akademia ku czci Marszałka Śmigłego-Rydza z okazji jego imienin.

Po odegraniu marsza przez orkiestrę dętą Związku Strzeleckiego, akademię zagaił wójt tut. gminy członek Zarządu Z. S. Krzeptowski, oddając głos prezesowi tut. Z. S. Dr Tomaszewskiemu. Dr Tomaszewski podkreślił czyny i zasługi Marszałka Śmigłego-Rydza od czasów powstania legionów aż do obecnych czasów, oraz jako kontynuatora testamentu Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i okrzykiem na cześć Solenizanta zakończył swe przemówienie.

Po odegraniu przez orkiestrę dętą marszu Śmigłego-Rydza nastąpiły deklamacje i inscenizacje, przeplatane marszami, po czym wygłosił gorące przemówienie prezes O. Z. N. na powiat Inowrocław inż. Wichliński, na temat zatargu polsko-litewskiego, przerywane oklaskami i okrzykami przez zebraną publiczność na cześć Marszałka Śmigłego-Rydza i Armii Polskiej. Mowę swą zakończył inż. Wichliński okrzykiem na cześć Marszałka Śmigłego-Rydza, powtórzonym entuzjastycznie przez publiczność.

Po przemówieniu orkiestra salonowa Zw. Strzeleckiego odegrała marsza i wiązankę pieśni legionowych.

Odśpiewaniem „Boże coś Polskę" została zakończona akademia.

POŚWIĘCENIE ŚWIETLICY ZW. STRZEL. W CHEŁMNIE

Oddział Zw. Strzel. w Chełmnie przeniósł swą siedzibę do nowej świetlicy, bardzo schludnej i utrzymanej w efektownym stylu kaszubskim.

Uroczyste poświęcenie świetlicy odbyło się dnia 19 marca b. r. w obecności p. wicestarosty mgr. Formanowicza i licznych gości.

Aktu poświęcenia dokonał ks. kapelan Tołpa, który wskazując na piękną historię Związku Strzeleckiego w serdecznych słowach zachęcał brać strzelecką do dalszej wytrwałej pracy na szlaku wytkniętym przez Wielkiego Marszałka Polski. O ideologii Związku Strzeleckiego i związanej z nią postacią Wielkiego Marszałka Polski wygłosił treściwy referat ob. mgr Mieczysław Rokicki, pow. ref. wych. obyw.

Podczas uroczystości Kmdt Pow. Z. S. ob. por. Mondzielewski odebrał od 22 kandydatów kursu „orląt" uroczyste przyrzeczenie.

Dziarska postawa i zapał tych najmłodszych członków kadry strzeleckiej wywarły na obecnych budujące wrażenie.

Kolejowe Przysp. Wojskowe

Z ŻYCIA K. P. W. W GRUDZIĄDZU

W dniu 18 marca, wszyscy Polacy, bez względu na przekonania polityczne, łączą się spontanicznie w oddaniu hołdu dostojnemu solenizantowi Marsz. Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Składając hołd, składają go nie tylko Jego zasługom, Jego stanowisku, lecz także Jego osobistym walorom, jakich skarbnicą nieprzebraną jest dostojny solenizant Marszałek Edward Śmigły-Rydz.

Dzień 19 marca poświęcony jest „Temu, który Polsce przywrócił Jej imię w świecie, Temu, który zerwał z nas kajdany niewoli. Nic to, że Jego pośród nas już nie ma, żyje, bo czyny Jego otoczyły Jego postać nimbem nieśmiertelności.

Nieśmiertelni nie umierają. To też duch Jego z wysokości, z zaświatów czuwa nad nami, przewodzi i błogosławi.

Dzień 19 marca nie może być dniem żałoby.

Cała Polska w dniach tych łączy się w czołobitnym hołdzie składanym dwom Marszałkom.

O swym obowiązku pamiętali także kolejarze grudziądzcy.

Dnia 18 marca o godz. 18,30 w sali K. P. W. w podniosłym nastroju odbyła się uroczysta akademia ku czci Marszał-

ka Edwarda Śmigłego-Rydza, składającej się z części oficjalnej i wokalno-muzycznej części.

W dniu 19 marca kolejarze wzięli udział w mszy świętej żałobnej za duszę ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego, a zaraz po Mszy Zarząd K. P. W. in corpore, złożył wieniec u stóp pomnika Wielkiego Marszałka w ogrodzie przy Dworcu.

DZIEŃ 19 MARCA w K. P. W. PUCK

Dzień 19 marca 1938 r. był w Ognisku K. P. W. Puck uroczyście obchodzony.

O godz. 19,30 odbyła się w „Świetlicy" uroczysta akademia, na którą przybyli członkowie z rodzinami.

Słowo wstępne wygłosił Prezes Ogniska ob. Łopatka Franciszek. Obszerny referat, poświęcony pamięci Wielkiego Wodza I. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, wygłosił referent wychowania obywatelskiego ob. Kępiński Jan.

O godz. 19,50 wysłuchano przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Prof. Ignacego Mościckiego, transmitowane przez „Polskie Radio", następnie ob. Kępiński wniósł trzykrotny okrzyk na cześć „Naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Jej Najwyższego Dostojnika Pana Prezydenta, Naczelnego Wodza Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza i polskiej armii".

Na zakończenie akademii odśpiewano wspólnie hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła" oraz kilka piosenek legionowych.

UROCZYSTOŚCI 18—19 MARCA w K. P. W. w TERESPOLU POM.

Staraniem Zarządu Ogniska K. P. W. urządzono w dniu 18 marca 1938 r. przy współudziale miejscowych organizacyj uroczystą akademię dla uczczenia pamięci Wielkiego Marszałka i Wodza Narodu ś. p. Józefa Piłsudskiego, oraz w celu zamanifestowania przywiązania i oddania hołdu Naczelnemu Wodzowi, Marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi, w dniu Jego imienin. Na wstępie orkiestra amatorska pod kierownictwem ob. Kierzkowskiego odegrała Hymn Narodowy, po czym miejscowy prezes Ogniska K. P. W. zagaił akademię, dając w treściwych słowach charakterystykę Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, oraz ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Następnie orkiestra odegrała wiązankę pieśni legionowych.

Referat z życia obydwóch Marszałków Polski wygłosił miejscowy nauczyciel p. Pryczkowski.

Po referacie orkiestra odegrała „Marsz Marszałkowski", a członkinie K. P. W. wygłosiły następujące deklamacje:

Helena Wegnerówna „Przed frontem".
Helena Cięszkowska „Komendancie".
Krysia Smolarkówna „Wodzu".

Prezes Ogniska oz. Zieliński, dziękując obecnym za liczny udział, zaprosił zebranych do świetlicy K. P. W. na dzień 19 marca celem wysłuchania przez radio przemówienia P. Prezydenta Rzeczypospolitej. Na zakończenie odśpiewano przy akompaniamencie orkiestry Hymn Narodowy.

KOLEJARZE W SZEREGACH LMK

3 kwietnia w sali konferencyjnej dyrekcji kolejowej odbył się zjazd obwodu kolejowego LMK, na który przybyli delegaci z całego Pomorza. Jako goście przybyli również inż. Buczek, inż. Siwiec, płk Matzenauer i prof. Eckmann z okręgu pomorskiego, a wicedyr. Lorfing reprezentował dyrekcję kolejową.

Po otwarciu zjazdu przez wiceprez. obwodu inż. Krynickiego, który również przewodniczył obradom, sekretarz Kuziemski odczytał wyczerpujące sprawozdanie z działalności w roku ub.

Ze sprawozdania tego należy przede wszystkim podkreślić fakt, że w szeregach LMK znajdują się prawie wszyscy pracownicy kolejowi w imponującej cyfrze 17804 osób. Większość z nich opłaca tylko groszowe składki miesięczne. Pomiędzy członków rozdzielano miesięcznie 16850 egzemplarzy czasopisma „Morze". W ub. r. zarząd obwodu zorganizował szereg wycieczek do Gdyni, a w tym 6 dla funkcjonariuszów o najniższym uposażeniu, którzy otrzymali bezpłatnie całodzienne utrzymanie i objazd portu gdyńskiego. Dnia 11 lipca dla O. R. P. „Grom" została wręczona złota księga, ufundowana przez kolejarzy pomorskich.

Dochody wynosiły ok. 47000 zł, z czego 80 proc. składek członkowskich przekazano do zarządu głównego. Na FOM wpłacono około 5000 zł, dalej tyt. 3 stypendiów dla niezamożnych uczniów Państw. Szkoły Morskiej — 3000 zł, a wreszcie 740 zł tyt. dotacji na modelarstwo dla młodzieży.

Na wniosek członka komisji rewizyjnej p. Golly'ego udzielono zarządowi absolutorium.

Po krótkiej przerwie, podczas której obradowały komisje budżetowa i wnioskowa, uchwalono budżet, który po stronie dochodów i rozchodów zamyka się kwotą 44265 złotych.

Następnie odbyły się wybory nowych władz organizacyjnych. Do prezydium weszli: Jerzy Kłossowski — prezes, inż. Jan Krynicki i dr Stefan Hański — wiceprez., Paweł Kuziemski — sekretarz i Juliusz Byttner — skarbnik.

Członkowie zarządu i zastępcy: Herbert Leśniakowski, Władysław Górski, Jan Klunder, Władysław Konopiński, Zygfryd Kamiński, Aleksander Kwaśniewski, mgr Kublin, inż. Bronisław Glancer, Ferdynand Szczypka, Józef Nagórski, Wojciech Pawlak i Franciszek Brauer.

Komisję rewizyjną (i zastępcy) tworzą: Józef Golly, Konrad Lewandowski, Marcin Nowak, Julian Wasylkiewicz i Jan Buchholc.

Na zakończenie prof. Kublin odczytał referat p. t. „Palestyna", w którym w interesujący sposób omówił możliwości kolonizacyjne dla Żydów. O godz. 13,30 inż. Krynicki zamknął obrady.

O sile organizacyjnej obwodu kolejowego świadczy fakt, że stanowi on pod względem liczby członków 40 procent członków całego okr. pomorskiego LMK. Pragniemy i to jeszcze podnieść, że kolejarze pomorscy w ciągu ostatnich dwóch lat wpłacili 30000 złotych na FOM.

Z. H. P.

Z WALNEGO ZJAZDU OKRĘGU POMORSKIEGO Z. H. P.

W Toruniu odbył się 13-ty walny zjazd Okręgu Pomorskiego Związku Harcerstwa Polskiego.

Po nabożeństwie w bazylice św. Jana, odprawionym przez kapelana Okr. Pom. Z. H. P. ks. Szybowskiego, na dziedzińcu ratusza, udekorowanym flagami wszystkich państw, jako symbolem braterstwa skautowego, odbyła się odprawa młodzieży harcerskiej z udziałem delegatów walnego zjazdu oraz przedstawicieli władz z p. wojewodą pomorskim Wł. Raczkiewiczem na czele. Przewodniczący Okręgu Pomorskiego Z. H. P. inspektor armii generał Bortnowski po przyjęciu raportu od hufcowych wygłosił przemówienie, w czasie którego złożył w imieniu całego harcerstwa pomorskiego ślubowanie P. Prezydentowi Rzeczypospolitej, prof. Ign. Mościckiemu i Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi, że hasło harcerstwa pomorskiego na rok bieżący „Twierdzą nam będzie każdy próg" będzie codziennym hasłem pracy harcerstwa. Następnie przemawiał p. wojewoda pomorski Wł. Raczkiewicz, podkreślając ogromne wartości wychowawcze harcerstwa oraz jego rolę przyszłą na terenie Wielkiego Pomorza.

Po odczytaniu telegramów, nadesłanych na zjazd, generał Bortnowski wręczył odznaczenia harcerzom, zasłużonym na polu pracy harcerskiej. Uroczystość na dziedzińcu ratusza zakończono odśpiewaniem pieśni: „Wszystko, co nasze, Polsce oddamy".

Właściwe obrady zjazdu rozpoczęły się o godz. 11-tej w sali Domu Społecznego, które zagaił p. gen. Bortnowski, po czym na przewodniczącego zjazdu wybrano płk. Mazurkiewicza.

Po referacie delegata głównej kwatery harcerzy w Warszawie hm. Sosnowskiego o metodach pracy w harcerstwie, przystąpiono do sprawozdań zarządu, które dały szczegółowy obraz ożywionej działalności i rozwoju Z. H. P. na terenie Pomorza.

Następnie odbyły się obrady w kilku komisjach, po czym dokonano wyboru władz. Na czele zarządu okręgu Z. H. P. stanął dotychczasowy przewodniczący gen. Bortnowski. Z kolei uchwalono budżet na rok bieżący. Po wolnych wnioskach przewodniczący zjazdu płk Mazurkiewicz w krótkim przemówieniu podkreślił, że harcerstwo w pierwszym rzędzie przygotowuje młodzież, hartując ją fizycznie i duchowo, do wielkiego zadania, jakie czeka nasze młode pokolenie do wzmożenia obronności Rzeczypospolitej.

Zjazd zakończono odśpiewaniem „Roty".

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

P. Władysław Ciesielski — Bydgoszcz.

Podzielamy uczucia pana — lecz trudno — życie mija!

Z cegiełek układanych przez ojców naszych — wzrósł gmach Rzeczypospolitej — a praca realna, wykonywana przez nas, wzmacnia Jej potęgę. Załączony przez W. P. jeden złoty znaczkami, przeznaczamy na chleb wielkanocny dla biednych dzieci.

SPORT

LIST STANISŁAWY WALASIEWICZÓWNY

W prasie amerykańskiej i angielskiej ukazały się pogłoski, jakoby Stanisława Walasiewiczówna miała przyjąć obywatelstwo amerykańskie i w przyszłej olimpiadzie walczyć już w barwach Ameryki. Pogłoski te zostały powtórzone nawet przez prasę polską w Ameryce. Dopiero kategoryczne dementi, ogłoszone przez konsulat R. P. położyło kres bezpodstawnym pogłoskom. W związku z tą sprawą Walasiewiczówna przesłała do Polski następujący list:

„Bardzo mi przykro, gdy dowiaduję się o nieścisłych notatkach, jak n. p. o zamierzonym jakoby przeze mnie reprezentowaniu Stanów Zjednoczonych, przejściu na zawodowstwo i t. p. Są to zwykłe „kaczki dziennikarskie". Tak często ukazują się podobne bezpodstawne wzmianki, że nie przejmuję się już tymi bajkami, inaczej bowiem z tego wszystkiego można by dostać zawrotu głowy. Pogłoski prasy polskiej w Ameryce co do rzekomego reprezentowania przeze mnie Stanów Zjednoczonych na olimpiadzie w r. 1939 w Polsce są tym bardziej nieścisłe, ponieważ olimpiada odbędzie się nie w Polsce, ale w Tokio i nie w 1939 r., ale w 1940 r. Na tej olimpiadzie, oczywiście, będę startowała w barwach polskich.

(—) Stanisława Walasiewiczówna".

GRUPA NAJLEJSZYCH KOSZYKAREK

W związku z mistrzostwami Europy w koszykówce kobiecej, które odbędą się w Rzymie w lipcu r. b., utworzona została grupa reprezentacyjna, do której zaliczono zawodniczki następujące:

Jaśnikowska, Wiszniewska-Bednarkowa, Brzustowska, Woynarowska, Bruszkiewiczówna, Gąsiorowska, Wardyńska, Kasperkówna (AZS Warsz.); Kamecka, Danowska (Polonia); Filipiakówna, Głażewska, Gruszczyńska (IKP Łódź); Nawrocka, Wójcicka, Batiukówna, Roztocka, Kremerówna, Jaworska (AZS Lwów).

Na czerwiec projektowane jest urządzenie turnieju miast Warszawa — Łódź — Lwów, po którym nastąpi ustalenie składu reprezentacji Polski na wyjazd do Rzymu.



Sport to radość życia

ZAPAŚNICY SZYKUJĄ SIĘ DO MISTRZOSTW EUROPY

W dniach 24 — 27 kwietnia w Warszawie odbędzie się obóz treningowy dla kandydatów do reprezentacji Polski na mistrzostwa Europy w Tallinie. W obozie tym wezmą udział następujący zapaśnicy: w. kogucia — Rokita, Mianowski, w. piórkowa — Świętosławski, Sawka; w. lekka — Ślązak, Wiciak; w. półśrednia — Szajewski, Rejniak; w. średnia — Hebda, Reda; w. półciężka — Dąbrowski, Falkiewicz; w. ciężka — Kozerski, Tęcza.

MISTRZOWIE ŚWIATA W POLSCE

Z Budapesztu nadeszła wiadomość, że węgierska wojskowa reprezentacja szermiercza przybyć może do Polski w drugiej połowie kwietnia (t. j. po Świętach Wielkanocnych) na trzy spotkania, a mianowicie z reprezentacją wojskową Polski, z kombinowaną drużyną warszawsko-poznańską oraz z reprezentacją Śląska.

POTĘGA LEKKIEJ ATLETYKI NIEMIECKIEJ

Niemiecki Związek Lekkoatletyczny zakontraktował na dni 9—10 lipca trzy mecze międzypaństwowe, a mianowicie z Polską w Królewcu, z Danią w Hamburgu i z Czechosłowacją w Pradze.

Przypomnieć należy, że w roku ubiegłym reprezentacja Niemiec walczyła jednocześnie aż na sześciu frontach. Obecnie ograniczyła program, aby tym pewniej zwyciężyć.

TRAGICZNY SKOK BRADLA

Słynny austriacki narciarz Bradl, który niedawno ustalił fantastyczny rekord świata w skoku narciarskim, osiągając na skoczni w Planicy 107 m, uległ wypadkowi na zawodach w Zell am See. W pierwszym skoku Bradl uzyskał 70 m, w drugim pośliznął się i złamał nogę w dwóch miejscach. Możliwe, że wypadek ten zakończy narciarską karierę Bradla.

WIELKI PROGRAM PIĘŚCIARZY

W roku bieżącym czekają polskich pięściarzy jeszcze dalsze liczne mecze międzypaństwowe. W dniu 10 kwietnia w Budapeszcie odbędzie się mecz Polska — Węgry, na dzień 12 czerwca projektowany jest w Łodzi mecz Polska — Francja, a na 7 sierpnia w Wenecji mecz Polska — Włochy.

Na jesień, przypuszczalnie w październiku lub listopadzie, mówi się o dwóch spotkaniach, a mianowicie z Anglią i Estonią. Oba odbyłyby się w Polsce.

NAJLEPSZY BOKSER POLSKI CZORTEK WRACA NA POMORZE

Jak się dowiadujemy, świetny bokser polski, Czortek, reprezentant Polski w wadze piórkowej, po przyjeździe z Finlandii rozpoczął czynną służbę wojskową w jednym z pułków grudziądzkich. Czortek w czasie odbywania służby wojskowej zasili prawdopodobnie szeregi Wojskowego Klubu Sportowego Grudziądz.

ANGLICY BĘDĄ W KATOWICACH

Angielska drużyna piłkarska Wolwerhampton Wanderers przyjeżdża na pewno do Polski i rozegra 18 maja mecz w Wielkich Hajdukach z reprezentacją Śląska.

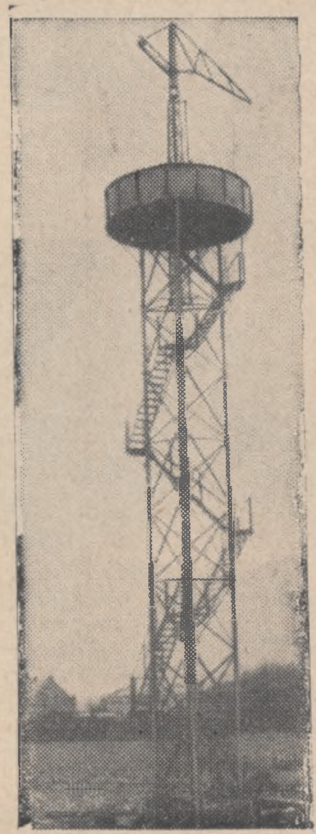
Marszruta Anglików po kontynencie jest następująca: Praga — Budapeszt — Wielkie Hajduki — Paryż — Amsterdam.

L.

O.

P.

P.



PIERWSZA NA WOŁYNIU WIEŻA SPADOCHRONOWA
Na zdjęciu — pierwsza na Wołyniu wieża spadochronowa L. O. P. P., wybudowana w Kowlu, ze składek pracowników kolejowych Dyrekcji Radomskiej P. K. P.

•

14-OSOBOWE LOCKHEEDY

W niedługim czasie przybędzie do Polski 6 zakupionych w Ameryce dla polskiego lotnictwa komunikacyjnego samolotów typu Lockheed 14, wybranych przez specjalną komisję rzeczoznawców po zapoznaniu się z nowoczesnym amerykańskim sprzętem lotniczym. Samolot Lockheed 14 jest bardzo podobny do dotychczas używanego typu Lockheed Electra 10-A. Posiada jednak zmiany: wyposażony jest w dwa silniki Hornet Sieg o mocy 750 KM przy 2,250 obrotów na minutę. Samolot jest średniopłatem, zbudowanym całkowicie z metalu i waży 7,750 kg. Podwozie jest podnoszone i opuszczane przy pomocy napędu elektryczno-hydraulicznego. Wprowadzono też napęd ręczny.

Lockheed 14 jest samolotem 14-osobowym, mogącym pomieścić 2 osoby obsługi i 12 pasażerów. Kabina pasażerska odznacza się większymi rozmiarami, niż w samolocie starszego typu. Rozmiary kabiny pozwalają na swobodne poruszanie się nawet ludziom wysokim, gdyż kabina ma w przejściu 190 cm wysokości. Również między fotelami wprowadzono znacznie szersze odstępy, a całkowita szerokość kabiny wynosi 165 cm. Fotele kryte są zielonkawym suknem, takim samym, jakim jest wybita cała kabina. Pod fotelami umieszczono dźwigi, które pozwalają ustawić dowolnie oparcie. Fotele są obrotowe i ustawione przy okienkach, co pozwala wszystkim pasażerom na obserwowanie trasy w czasie lotu.

Kabina jest w zimie ogrzewana, w lecie zaś wentylowana, a każdy pasażer może sam normować stały dopływ świeżego powietrza. Izolacja między zewnętrzną ścianą a wewnętrzną — kabiny — nie przepuszcza odgłosu pracujących motorów, co pozwala na zupełnie swobodną rozmowę w kabinie.

Kabina pilota też uległa znacznym zmianom. Zastosowano tu w pierwszym rzędzie „pilota automatycznego". Jest to przyrząd, który dotychczas zainstalowany był z aparatów przez nas używanych, tylko na samolocie Douglas DC 2. Tablica pokładowa pokryta jest zegarami, wśród których widzimy ulepszony „sztuczny horyzont" żyroskop kierunkowy, wskaźnik synchronizacji silników, dwa precyzyjne wysokościomierze, elektryczne obrotomierze oraz zegar, sumujący czas przelotów.

Na samolocie wbudowane są 3 radiostacje. Stacja nadawcza jest średnio-krótko-falowa. Stacja odbiorcza gonfometryczna pozwala na wykonywanie lotów według sygnałów stacji przyziemnej, a stacja odbiorcza do lądowania jest krótkofalówką, reagującą na sygnały „radio-latarni". Dzięki zastosowaniu specjalnych klap skrzydłowych zmniejszono szybkość lądowania do 105 km/godz. i w ten sposób skrócono niezbędny rozbieg o 20 proc. Szybkość podróżna — 370 km/godz., szybkość maksymalna — 400 km/godz., granica wysokości — 7.050 m. Samolot zabiera 1,720 kg ładunku.

AUTOMATYCZNE STACJE METEOROLOGICZNE

W stratosferze, t. j. na wysokości powyżej 16 km od powierzchni ziemi, powietrze jest silnie rozrzedzone i przedstawia mniejszy opór poruszającym się w nim przedmiotom. Gdyby zatem zbudować samoloty, mogące wznieść się na odpowiednią wysokość, to możnaby osiągnąć szybkość, znacznie przewyższającą praktykowane obecnie.

Nie należy się zrażać bardzo niską temperaturą na znacznej wysokości, bo z niektórych obserwacyj wynika, że na wysokości około 30 km znajduje się, wprawdzie bardzo cienka, warstwa ozonu, gdzie ciepło może dochodzić do 20 stopni C. przy bardzo małym ciśnieniu.

Wszystkie te dane są dotychczas tylko teoretyczne i należałoby je sprawdzić. Nie jest jednak konieczne uciekanie się w tym celu do balonów stratosferycznych z obsługą ludzką, czym stale zajmuje się prof. Piccard, poświęcając na to wiele trudu i pieniędzy.

Wystarczy zmontowanie stosunkowo małych balonów, zaopatrzonych we wszystkie niezbędne przyrządy meteorologiczne i hipsometryczne. Załoga takich balonów składa się z automatów „robotów", które za pomocą radia sygnalizują co pewien czas wszystkie dane, zaobserwowane na danej wysokości. Po kilkunastu godzinach, gdy część gazu się ulotni, lub gdy przypadkowo powłoka balonu pęknie, gondola z robotami automatycznie opuszcza się na spadochronie.

Doświadczenia były robione w Wiedniu, gdzie osiągnięto wysokość 22,000 metrów, oraz na wyspie Franciszka Józefa, gdzie sowiecki prof. Mołczanow przytwierdził za pomocą liny balon do kry, popychanej przez wiatr.

OBRONA PRZECIWGAZOWA W PARYŻU

„W razie nagłego ataku napowietrznego, dwa miliony mieszkańców Paryża może w przeciągu 2-ch godzin znaleźć schronienie na przedmieściach stolicy" — tak brzmią dane akcji komitetu obrony przeciwlotniczej kraju. Opublikowane informacje dowodzą, że Paryż posiada już teraz 32 tysiące piwnic-schronów przeciwlotniczych.

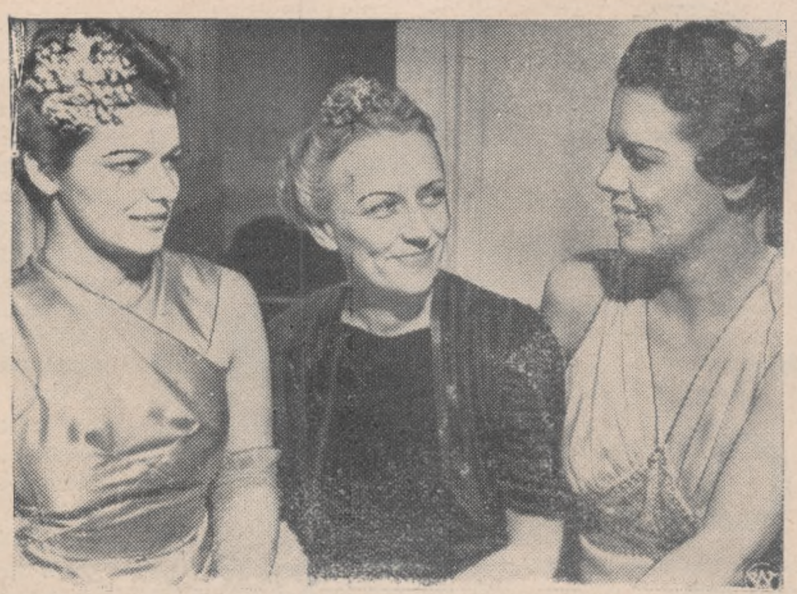
Specjalnie w tym celu zwołana konferencja w prezydium rady ministrów zadecydowała zakupić maski gazowe dla ludności cywilnej kosztem 200-tu milionów franków. Na rozbudowę schronów i instalację filtrów przeciwgazowych w paryskiej kolei podziemnej przeznaczono 35 milionów.

JEDNO Z NAJWIĘKSZYCH LOTNISK ŚWIATA

jakim jest lotnisko w Frankfurcie na Menem, służące nie tylko dla celów komunikacji samolotowej, ale także dla służby statkami powietrznymi, ulega dalszemu rozszerzeniu. Rozbudowa wielkich hal postępuje naprzód. W ten sposób będzie ono liczyło 3,5 km długości i 2 km szerokości. Na obszarze tym zmieściłaby się połowa miasta Frankfurtu.



Dział Kobiecy



NOWA WODA W AMERYCE
Dekoracja włosów kwiatami stanowi najnowszą modę, lansowaną w Ameryce.
Na zdjęciu — trzy najmodniejsze fryzury amerykańskie, nagrodzone na konkursie w Chicago.

WIĘCEJ KOBIET NA STANOWISKACH URZĘDOWYCH!

W 25 krajach świata, gdzie istnieją zorganizowane grupy Międzynarodowej Federacji kobiet pracujących zawodowo, opracowano odpowiedzi na ankietę, rozesłaną przez centralę Federacji w Nowym Yorku, w sprawie udziału kobiet w rządach i na stanowiskach kierowniczych w urzędach.

Informacje te zbiera centrala Federacji międzynarodowej, rozpoczynając swą akcję praktyczną w celu zrealizowania planu pracy, uchwalonego w roku ubiegłym na konferencji zarządu międzynarodowego w Sztokholmie (czerwiec 1936 r.), a mianowicie zwiększenia liczby kobiet na stanowiskach publicznych w urzędach państwowych, samorządowych oraz w instytucjach życia gospodarczego.

Nie trzeba uzasadniać, że planowa akcja Federacji zmierza do uzyskania dla kobiet należnego wpływu na rządy we wszystkich krajach. Mimo bowiem równych praw politycznych i cywilnych, kobiety nigdzie nie są dopuszczane na stanowiska kierownicze w administracji państwowej i samorządowej, pozostają „szeregowcami bez oficerów", nie odgrywają należnej sobie roli i nie mają wpływu na bieg spraw publicznych, ani w gospodarce, ani w polityce państwowej.

Niewątpliwie wśród przyczyn tego stanu rzeczy nie bez znaczenia są pewne czynniki psychologiczne i wychowawcze, stanowiące przeszkody do istotnego udziału kobiet w rządach. Mówi się o bierności kobiet, o kobiecym kompleksie niższości i braku odwagi, mówi się o słabej organizacji ruchu kobecego. Akcja Federacji podjęta została także w tym celu, aby zwalczyć tego rodzaju przeszkody, gdzie one istnieją i budzić w kobietach ducha odpowiedzialności obywatelskiej.

Przewodnicząca międzynarodowej Federacji kobiet pracujących zawodowo, miss Lena Madesin Philipps, tak pisze w swym apelu do członkiń Federacji:

„Chcemy mieć więcej kobiet na stanowiskach urzędowych i więcej fachowczyń w zarządach instytucyj gospodarczych. Możemy te żądania przeprowadzić, ale nie stanie się to bez zdecydowanej woli, która oznacza planową akcję i wytrwałość w pracy".

Każde ugrupowanie narodowe zrobi mądrze, gdy zacznie działać w swym najbliższym środowisku, w swej gminie. Wprowadzenie kobiety do rady miejskie, do wydziału szkoły, do zarządu biblioteki, na dobrze płatną posadę — jeśli będzie to uzyskane staraniem i wspólnymi siłami innych kobiet — jest czymś dla czego warto pracować. Zdarzały się takie fakty, dawniej, chociaż rzadko, na przyszłość powinno być inaczej i lepiej.

W związku z akcją Federacji międzynarodowej, Polskie Zjednoczenie kobiet pracujących zawodowo podejmuje inicjatywę w celu przeprowadzenia kandydatur kobiecych na odpowiednie stanowiska kierownicze.

PRZEPISY ŚWIĄTECZNE:

LEGUMINA Z SERA

¼ kg sera zemleć na maszynce, dodać 4 łyżki pełne cukru mączki, 4 żółtka, 5 dkg migdałów obranych z łuski i startych, kawałek drobno posiekanej skórki cytrynowej i pomarańczowej, utrzeć na masę, po czym dodać 5 dkg roztopionego masła, wymieszać, dodać jeszcze ubitą na sztywno pianę z 4 białek, 1 łyżkę pełną grysiku, na koniec noża proszku do pieczywa, wymieszać znów, nakłaść masę w wysmarowany, wysypany mąką rondelek i piec wolno 1 godzinę. Podać z konfiturami lub jakimkolwiek sokiem.

STRUDEL Z SEREM

Zrobić ciasto jak na strudel z jabłkami. Utrzeć 25 dkg sera białego wraz z 5 dkg cukru, połową startej cytrynowej skórki, po czym dodać 2 całe jaja, 4 dkg rodzynek i wymieszać. Na rozciągnięte ciasto posypać pół szklanki zrumienionej lekko na łyżce masła tartej bułeczki, 4 dkg siekanych migdałów i 4 dkg posiekanej smażonej w cukrze skórki pomarańczowej, po czym nałożyć masy serowej, zwinąć w kształt ślimaka i ułożyć w okrągłym rondlu, a skropiwszy po wierzchu masłem, upiec w piecyku. Po upieczeniu oprószyć cukrem z wanilią.

TANI MAJONEZ NA 4 OSOBY

Proporcje: ćwierć litra dobrej oliwy, 1 żółtko, 1 łyżka octu lub sok z pół cytryny, szczypta białego pieprzu i soli, kilka kropel Maggiego przyprawy. — Do donicy włożyć szczyptę soli, żółtko ze świeżego jajka i trochę białego pieprzu. Prawą ręką ubijać trzepaczką zawartość miseczki, dolewając lewą ręką oliwę kroplami. W międzyczasie dodać także ocet lub sok cytrynowy, tak aby się dobrze złączył z oliwą. W końcu wlać łyżkę gotującej wody, aby sos dostatecznie zgęstniał. Majonez bardzo zyska na smaku, jeżeli na początku doda się do żółtka kilka kropel Maggi'ego przyprawy.

ANEGDOTY

SMETONA I SMETANA

Podobno te dwa nazwiska pomieszał jeden z wydawców muzycznych i udał się do prezydenta Litwy z prośbą o biografię „artystyczną” do wydawanego dzieła. Wydawca był z Warszawy.

— Żałuję — odpowiedział prezydent — ale jeżeli w pańskim kraju stał kiedyś na czele rządu wielki muzyk, to nie dowód, aby był muzykiem każdy prezydent.

Zresztą mój prawie — imiennik, Czech Smetana, umarł w roku 1884. To mi pozwala być pewnym, że tu nie o mnie chodzi.

KEPPLER, ALCHEMIK NA ODWRÓT

Wysokim komisarzem Rzeszy w jej prowincji austriackiej mianował Hitler 55-letniego Wilhelma Kepplera, który staje się tam pierwszym dygnitarzem i zwierzchnikiem Seyss-Inquarta.

Jest to z profesji chemik, zdolny administrator, który stał na czele grupy towarzystw chemicznych. Od r. 1933 jest doradcą ekonomiczno-handlowym Führera.

Z tego tytułu nieraz był odmiennego zdania, niż dr Schacht ,podówczas prezes Reichsbanku i minister skarbu. „Przestarzałe” idee Schachta Keppler zbijał energicznie.

— Dr Schacht ciągle myśli — mawiał — że 2 × 2 — to 4.

A na to Schacht:

— P. Keppler jest alchemikiem na odwrót. Dać mu złoto, to zrobi zeń ołów.



Znany satyryk Bernard Shaw.

FORMUŁA BEZPIECZEŃSTWA

Prezydent Stanów Zjednoczonych, Teodor Roosevelt, jest człowiekiem o zdrowej logice. Oto jego ulubiona formuła bezpieczeństwa:

„Przemawiać z cicha, trzymając w ręku gruby kij”.

Nie można zaprzeczyć, aby formuła ta nie dawała najlepszych wyników w dyplomacji międzynarodowej.

GDY GRYPA SZALEJE...

Znany dramaturg węgierski Franciszek Molnar został kiedyś zaproszony na obiad do słynnego reżysera Reinhardta.

Gdy przyszedł o umówionej godzinie, zastał gospodarza w łóżku.

— Niestety, nabawiłem się ciężkiej grypy — oświadczył Reinhardt. — Mam trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Wybaczy mi pan chyba, że przełożę dzisiejszy obiad na pojutrze.

Po dwóch dniach Reinhardt otrzymał od Molnara list następującej treści:

— Szanowny Panie Dyrektorze! Będąc w posiadaniu pańskiej przedwczorajszej grypy, zawiadamiam, iż nie będę mógł niestety odwiedzić Pana w dniu dzisiejszym. Z prawdziwym poważaniem, Franciszek Molnar.

PRAWDA

Królowa angielska Elżbieta, zabroniła swemu nadwornemu trefnisiowi, imieniem Pace, wstępu na dwór królewski. Pewnego jednak dnia dała się przebłagać i kazała go przywołać do siebie, tym bardziej, że dworzanie zapewniali ją, że Pace nie odważy się powiedzieć niczego, coby mogło obrazić królową.

— No, Pace — zwróciła się Elżbieta do błazna — co przynosisz nowego? Czy znowu będę musiała usłyszeć od ciebie całą litanię moich wad?

— Broń Boże, Wasza Królewska Mość — odrzekł spokojnie Pace — ja się zawsze wystrzegam zabierania głosu w sprawach, o których mówi całe społeczeństwo.

KRÓL KOMPOZYTOREM

Król Ludwik XIV skomponował pewnego razu menuet i pokazał go Lully'emu, swemu nadwornemu kompozytorowi, prosząc go o ocenę.

Lully uśmiechnął się ze słodyczą, zgiął się w ukłonie i szepnął:

— Wspaniale, wasza królewska mość, wspaniale! Wasza królewska mość wszystko potrafi! Wasza królewska mość chciała widocznie skomponować ohydny menuet — i udało się to jej w zupełności!

TROCKIJ I STALIN

Na stronicy 577-ej autobiografii Leona Trockiego-Bronsteina czytamy:

— Powiedzcie mi — zapytał mnie Sklanski — co zacz jest Stalin?

Sklanski sam znał dobrze Stalina. Chciał jednak, abym dał mu jego charakterystykę i wytłumaczył jednocześnie, jakie są przyczyny jego powodzenia. Zastanowiłem się.

— Stalin — powiedziałem — jest najwybitniejszą miernotą w naszej partii.

Po wyrazie twarzy Sklanskiego poznałem od razu, że dopomogłem memu rozmówcy do rozwikłania trudnego i poważnego zadania.

Rzeczywiście! „Trudna i poważna” zagadka Stalina została „od razu” rozwikłana przez jedno genialne zdanie nieomylnego Trockiego!

Wprawdzie arcyznakomity polityk i rewolucjonista, towarzysz Trockij, został przez „miernotę” wydalony z Sowdepii i tuła się po Turcjach i po Meksykach, gdy w ogromnym państwie bolszewizmu panuje samodzierżawnie „miernota” i ta „miernota” daje radę największym chwatom z formacji Lenina, ale, co tu gadać, towarzysz Sklanski był olśniony.

O NIECHLUJNYCH

Kawaler P. odznaczał się niepospolitym brudem. Rivarol powiedział o tym kawalerze:

— On robi plamy na błocie.

A Pierre Veber mawiał o pisarzu socjalistycznym, Rapaport'cie, słynącym z odrazy do czystości:

— On zmienia brudną bieliznę.



ŚPIEWAĆ KOLANAMI?

Na próbie, w której uczestniczył Szaliapin, znany nie tylko ze śpiewu,, ale i z rubaszności, kapelmistrzowi nie podobały się niskie tony artysty. Zwrócił się więc uprzejmie do niego:

— Nieco niżej, jeśli mogę prosić. Nieco niżej.

Na co Szaliapin nieco zdenerwowany:

— Dobrze! Ale przecież kolanami śpiewać nie mogę.

WŚRÓD AUTOMOBILISTÓW

— Opowiadajże-no, jak to było z twoim wypadkiem?

— Ano, widzisz, byłem bardzo ostrożny. Naraz widzę z daleka motocykl, trochę dalej drugi. Mając przed sobą oba światła, jadę ostrożnie i chcę przedostać się między nimi, a tu — patrz — był to samochód.

NA OKRĘCIE

— Panie kapitanie, czy to prawda, że w razie wypadku musi pan aż do samego końca pozostać na pokładzie?

— Nie zawsze, proszę pani. Gdyby się na przykład wydarzyła eksplozja, to wolno mi wylecieć w powietrze razem z pasażerami.

ZA OSŁA TEŻ!

Znany aktor angielski Kean, grając rolę popisową Ryszarda III, nie wiedział, że grono jego przeciwników będących na sali, zamierza zrobić kawał i zakpić z niego. Gdy w ostatnim akcie, zgodnie z tekstem sztuki biegał nerwowo po scenie i zawołał:

— ...Konia! Konia! Królestwo oddam za konia!

Krzyknął ktoś z publiczności: „A za osła też?“

— Naturalnie — odparł bez namysłu Kean — wejdź pan tylko na scenę.

CO ZA ZŁOŚLIWOŚĆ!

W obecności Bernarda Shaw‘a zawołał ktoś:

— Młodość, to najcudowniejsza rzecz pod słońcem!

— Tak — odparł znakomity pisarz. — Cóż za lekkomyślność, powierzać taki skarb dzieciom!

PRZYZWYCZAJENIE

Jeden ze speakerów Polskiego Radia staje przed sądem jako świadek.

— Jaki jest pański wiek? — zapytuje sędzia.

— Z uderzeniem gongu — odpowiada świadek, spoglądając na zegarek — będę miał 34 lata, 11 miesięcy, 2 tygodnie, 5 dni, 17 godzin, 56 minut i 18 sekund.

ANI DRAMAT, ANI KOMEDIA

Na premierze jednego z najnowszych filmów krajowej produkcji siedzą dwaj panowie. W połowie, jeden z nich odzywa się:

— Hm... jak na komedię, to trochę za mało zabawne!

— Ależ to nie jest komedia, tylko dramat!

— Ach tak? No, jak na dramat, to rzeczywiście dostatecznie zabawne!

WARUNKI PRENUMERATY:	Redakcja i administracja: TORUŃ, UL. MICKIEWICZA 2/4 TELEFON RED.: 1061 (DOM SPOŁECZNY)	OGŁOSZENIA:
rocznie . . . . 10 zł	Redaktor: Zygmunt Chojnicki, Toruń, Mickiewicza 2/4	strona . . . . 200 zł
półrocznie . . . 6 „	Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z odp. udz. Nr P. K. O. 219701 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem	1/2 strony . . . 110 „
kwartalnie . . . 3 „	Nadesłanych rękopisów i fotografii Redakcja nie zwraca	1/4 strony . . . 70 „
miesięcznie . . . 1 „		1/8 strony . . . 40 „
numer pojedyńczy 35 gr		1/16 strony . . . 25 „

DRUKARNIA SPÓŁDZIELCZA, TORUŃ